

Janusz Chutkowski



LEGENDY GLOGOWSKIE

XXXI tom
Biblioteki Encyklopedi Ziemi Głogowskiej

KOMITET REDAKCYJNY

Redaktor naczelny
Janusz Chutkowski

Sekretarz
Jerzy Dymytryszyn

Członkowie
Antoni Bok, Zenon Hendel, Jerzy Sadowski.

Opracowanie redakcyjne i komputerowe
Paweł Łachowski

Korekta
Jerzy Sadowski

ISBN 83-906921-6-3

Druk

Druk-Ar, Głogów, tel. 34 19 88

Towarzystwo Ziemi Głogowskiej

Janusz Chutkowski

Legendy głogowskie



Głogów

Ksieżna i golab.

Dwórki kryły się po kątach. Stary Suliga, ochmistrz dworu głogowskiego mruczał pod nosem o „babskich rządach” i nawet piastunka księżnej, która przybyła z nią tutaj przed laty z dalekiego Poznania nie kryła swojego niezadowolenia. Co tu dużo mówić, nawet błazen Rambo schował się w kuchni, gdzie pod opieką kucharza czuł się bezpieczny. Nawet psy, których zwykle wszędzie było pełno, pochowały się po zakamarkach. Powietrze było parne i gorące jak gdyby sama przyroda chciała okazać swoje niezadowolenie. Ale przecież nie to było przyczyną napiętej atmosfery na dworze.

Ksieżna Salome nerwowo krążyła po komnacie. Wokół leżały porozrzucane stroje, kolorowe i wabiące, ale nawet one nie były w stanie przyciągnąć jej uwagi. Myśli księżnej krążyły wokół wczorajszej rozmowy z mężem. Rozmowy? Kłótni raczej. Książę Konrad nigdy jeszcze nie był taki rozdrażniony. A zaczęło się przecież tak niewinnie. Wspomniła tylko, że onegdaj zmokła modląc się w miejscowej kolegiacie, której dach przeciekał, a ściany rozpadały się ze starości. Przecież to było widoczne gołym okiem. Konrad rzadko bywał w domu, ciągle w podróży, a nawet podczas pobytu w Głogowie więcej czasu spędzał na łowach w okolicznych lasach niż na zamku. Ale o zamek dbał. Jego budowa była już prawie ukończona, a wysoka, murowana wieża dumnie górowała nad miastem. Tymczasem kolegiata była w ruinie. Tylko patrzeć jak się zawali, a to przecież wstyd i obraza Boska. Już teraz bezpieczniej modlić się w malutkim kościółku św. Piotra. A przy tym jak to wygląda, żeby wzniesiony przez mieszczan kościół parafialny św. Mikołaja był większy i

ładniejszy niż książęca kolegiata. Do tego nie można dopuścić. To już sprawa honoru.

I wtedy nieoczekiwanie książę Konrad wpadł w złość. Te baby go wykończą. Najpierw, podczas ostatniego pobytu na dworze króla Przemysła Ottokara, królowa matka upominała się o pieniądze na krucjatę przeciwko niewiernym. A niby skąd on miał ciągle brać pieniądze. Później dwórka Małgosia, która, nie można powiedzieć, nie skapiła mu swoich wdzięków, zaczęła nagle płakać i mówić coś o hańbie, której nie przeżyje. A teraz Salome. Ta spokojna i delikatna Salome zaczyna go męczyć budową nowego kościoła. Tak jak gdyby nie dosyć było poprzednich zmartwień. I skąd na to wszystko brać pieniądze. Wszak miasto jeszcze nie zabudowane. Tylko kilkanaście domów wokół rynku. Jeszcze nie przynosi dochodów. A z okolicznych wsi prawie wszystkie daniny są w naturze. Jeść i pić jest co, ale pieniądze? W dodatku gdzie tę kolegiatę budować? Dotychczasowa stała na wyspie, zaraz za rozpadającą się obecnie bramą opuszczonego grodu. Wszystko tam w ruinie. Tymczasem proboszcz chce koniecznie wystawić nowy budynek na dawnym miejscu, jako że teren należy do niego. A wójt Fryderyk przeciwnie. Widzi kolegiatę tylko w mieście. Wszak splendor od tego rośnie i nowych osadników przyciągnie. Zwariować można.

- Niech Wasza Książęca Mość (książę tak zwracał się do żony tylko w chwilach największego wzburzenia) nie myśli, że ja wszystko zdzierzę. Niech Księżna Pani sama zadecyduje gdzie postawić kolegiatę i znajdzie na to pieniądze. Ja wyjeżdżam. Konie siodłać! Ryknął do zgiętego w pas pacholka i wybiegł z komnaty. Zaraz za progiem mu ulżyło. Podobno w polkowickim lesie pokazało się duże stado jeleni, a przy tym jego giermek Hans wspominał, że tamtejszy gajowy ma wcale ładną córkę. Można będzie połączyć przyjemne z pożytecznym...

Tak więc wszystko spadło na głowę księżnej. Najpierw rozplakała się żałośnie. Potem wpadła w złość i nawet rzuciła wrzecionem we wchodzącą do komnaty Małgosię. I czego ta głupia dziewczka z takim krzykiem uciekła? Przecież jej nic nie zrobiła. Teraz księżna chodzi po komnacie (izbie raczej - nie to co w poznańskim zamku) i nie może znaleźć wyjścia. Pieniądze może by się i znalazły. Trochę da Kościół. Zresztą na początek nie trzeba wiele - można użyć ludzi służebnych. Ale wybrać miejsce? W mieście? Proboszcz kolegiaty nigdy jej tego nie wybaczy. Na wyspie? To oznacza wściekłość wójta i niemieckich osadników, a może i niezadowolone księcia. Co wybrać? I dlaczego raptem wszyscy uciekli? Jak zwykle, nie ma się kogo poradzić.

Księżna klasnęła w dłonie. Do komnaty wszedł pacholek.

- Wołać Magnusa, powiedziała.

Astrolog Magnus, mały i przygarbiony, nie wiadomo od kogo otrzymał swoje przezwisko, ale podobało mu się i chętnie go używał. Mieszkał w niewielkiej komnacie, na szczycie wieży, sam, w towarzystwie starego psa, którego kiedyś przygarnął. Właściwie to nie był on żadnym astrologiem, ale służył kiedyś u mistrza Baltazara w Poznaniu i razem z księżną przyjechał do Głogowa. Z natury odludek, upodobał sobie mieszkanie w wieży. Mówili, że patrzy w gwiazdy i potrafi w nich czytać i z czasem on sam w to uwierzył. Horoskopy układał zręcznie, dbając o to żeby pytający otrzymał to co chciał, ale równocześnie zawsze tak, aby w wypadku niespełnienia się wróżby on sam był zabezpieczony. Mówił mało, ale umiał słuchać i znał wszystkie plotki krążące na dworze. Tym razem również był dobrze poinformowany.

- Księżna Pani wzywała. Mistrz Magnus skłonił się nisko, a jego wysoka czapka zatoczyła wielki łuk.

- Musicie ułożyć horoskop. Chcę wiedzieć co mam uczynić, jaką decyzję podjąć... Księżę wyjechał... Kolegiatę budować trzeba, koniecznie... Nie wiada gdzie...

Księżna mówiła pośpiesznie i nieskładnie. Magnus udawał, że słucha z uwagą, ale przecież wiedział już dokładnie o co chodzi. W zamku ściany miały uszy i od dwóch dni o niczym innym się nie mówiło. Udawał, że się zastanawia, po czym odpowiedział.

- Natychmiast ułożę kartę. Ale dostojna Pani konstelacja gwiazd jest niepomysłna. Jowisz w opozycji. Dominanta Marsa. Merkury w ósmej kwadrze. Trzeba czekać, może nawet kilka tygodni...

Magnus zdawał sobie sprawę z tego, że bredzi, ale przecież księżna nie miała pojęcia o astrologii, a on sam nie był na tyle głupi aby się mieszać w sprawy jej i księcia. To mogło być niebezpieczne. Najlepiej przeczekać.

-Dobrze, odejdźcie.

Księżna już wiedziała, że od Magnusa nie może spodziewać się pomocy. Pewno teraz zaszyje się w swojej wieży, rozłoży wielką księgę i będzie na karcie pergaminu kreślił różne dziwne znaki. Raptem ogarnęła ją wielka żalność. Przypomniała sobie jak dobrze, jak beztrudnie spędzała dzieciństwo w Poznaniu. Upadła na łóżko i zaczęła szlochać, początkowo bezgłośnie, a potem już coraz żłośniej i coraz bardziej rozpaczliwie. W pewnej chwili poczuła, że czyjaś dłoń gładzi ją po twarzy. To stara piastunka, nie mogła znieść płaczu ukochanej pani. Teraz siedziała na łóżku i ogarnęła ją ramieniem.

- Co ci jest dziecino. Czego płaczesz? Szkoda twoich łez.

- Co robić nianiu?

- Uspokój się. Zaraz coś wymyślimy. A może tak powróżyć?

- Grzech nianiu, a i nic to nie da ? Przecież jak by nie zrobić i tak wyjdzie na złe. Budować świątynię w mieście - kanonicy klątwę rzuca. Na wyspie - Niemce się wściekną i będą szkodzić, a przecież my wśród nich siedzim. Księżę wielce na nich liczy. Co zdziałać?

- Jest na to sposób dziecino. Trzeba tak uczynić, aby to oni sami zgodzili się na wróżbę. Zróbmy tak: Trzeba rozpuścić wieść w mieście, że księżna chce budować kościół na wyspie. Niech się Niemce złączą. A kanonikom po cichu przekazać, że kolegiata będzie w mieście. Potem wezwać proboszcza i wójta do zamku i niech sobie skoczą do oczu. A kiedy obaj się wyłoszczą ty zaproponuj żeby los rozstrzygnął. I co, dobrze wymyśliłam? Już ja się wszystkim zajmę.

Przez dwa dni okolica aż się trzęsła od plotek. Niemce zbierali się na rynku i szwargotali tak głośno, że aż w zamku było słychać. Na wyspie było cicho, tylko proboszcz zarządził wielogodzinne modły i posty, dla odwrócenia nieszczęścia. Na trzeci dzień księżna wezwała proboszcza i wójta na zamek. Wprowadzono ich do paradnej komnaty i oznajmiono, że mają czekać, bo pani jeszcze nie gotowa. Początkowo obaj patrzyli na siebie z pode łba. Rychło jednak poczęli się klócić, krzycząc równocześnie i tak głośno, że w całym zamku było słychać. Pozwolono się im wyrzeszczeć. Kiedy już obaj prawie ochrypli od krzyku otworzono drzwi i stary sługa księżnej, zwany przez niektórych majordomusem, otworzył drzwi i głośno zastukał w podłogę ogromną laską.

- Księżna Pani! Oznajmił donośnym głosem.

Obaj adwersarze zamilkli i pochylili się w głębokim ukłonie.

- Witajcie Panie Kanoniku i Wy Wójcie Fryderyku. Toć widzę, że niezgoda między wami. Jakże to. Przecież o świętym przybytku mamy radzić. W takiej sprawie pokój przystoi bardziej. Co nam chcecie rzec ?

Obaj zaczęli przedkładać swoje racje. A, że jeszcze nie ochłonęli z niedawnej kłótni, więc też mówili obaj na raz, coraz głośniej i coraz szybciej. W dodatku kanonik po polsku, a wójt po niemiecku. Księżna poczuła złość. Cóż to? Ona, wnuczka królów Polski, władców wszystkich tych krain, którą tych oto dwóch przybłędów obraża, nie bacząc na jej urodzenie i stanowisko. Ogarnął ją straszny gniew.

- Milczeć, bo do lochu wrzucić każe! Nie składno wam się godzić, to niech los rozstrzygnie. Onegdaj dostałam od niewinnej dziewczki białego gołębia. Jutro, po mszy u św. Piotra wypuszczę go z wieży zamkowej. Tam gdzie usiądzie będziemy chram stawiać. I ani słowa więcej, bo poznacie, że nie tylko księżę umie karać. Idźcie precz.

Nazajutrz dzień wstał ciepły i słoneczny. Prawie cały dwór zgromadził się na dziedzińcu. Księżna ubrana w białą, powiewną szatę. Obok niej kapelan. Stary majordomus i dwórki w komplecie, przejęte powagą chwili. Obaj wczorajsi przeciwnicy ochłonęli już, ale przezornie ustawili się po przeciwnych stronach. Mała Danusia, wychowanica księżnej, bardzo przejęta, trzymała klatkę z białym gołębiem. Wszyscy pozwoli weszli na wieżę. Po drodze dołączył do nich jeszcze mistrz Magnus. Horoskopu oczywiście nie przygotował, ale jakże by tak ważne wydarzenie mogło się bez niego obejść. Na szczycie wieży zrobiło się tłoczno.

Księżna stanęła przy balustradzie. Skinieniem ręki przywołała Danusię. Kapelan pobłogosławił klatkę z gołębiem. Na polecenie księżnej Danusia otworzyła ją. Białe gołęb wyfrunął, wzbił się wysoko w górę i zaczął zataczać koła. Początkowo poszybował nad miastem i wójt Fryderyk poczuł przypływ radości, zdawało się bowiem, że usiądzie na drzewie rosnącym na rynku. Gołęb jednak poleciał dalej. Ponownie przeleciał koło wieży na drugą stronę Odry i widać zmęczony lotem, usiadł na bramie dawnego grodu.

- Bóg Tak chciał. Tu stanie chram. Powiedziała księżna.
- Laudetur Jezus Chrystus - kanonik nie krył swojej radości.

Tylko Fryderyk milczał i ponuro patrzył w ziemię.

Minęły lata. Na Ostrowiu Tumskim, w miejscu gdzie kiedyś usiadł biały gołąb stanęła murowana, gotycka kolegiata. Księżna nie doczekała zakończenia budowy. Pocho-
wano ją w kościele św. Piotra. Ale jej syn i następca Konrada na tronie książęcym, Henryk III. wykonać kazał dwa piękne posągi fundatorów kolegiaty: Konrada i Salome, które stanęły w niszach po obu stronach prezbiterium. I stały tak przez wieki. Nie miały się ich żadne nieszczęścia, których los, a częściej jeszcze źli ludzie, nie szczędzili świątyni. W XIX wieku padająca wieża zniszczyła posąg Konrada. Figura księżnej Salome stała zasłonięta malowidłami i zapomniana. W czasie oblężenia miasta w 1945 r. kolegiata została spalona. Zawalił się dach. Opadły malowidła zasłaniające posąg i ukazał się on w całej swojej krasie. Niedługo potem został zabrany do Poznania, odrestaurowany i można go nadal podziwiać w poznańskim Ratuszu.

Ale przecież nie tam jest jego miejsce. Pierwsza Księżna Głogowska powinna wrócić do Głogowa, z którym związała całe swoje życie, do głogowskiej kolegiaty, po jej obudowaniu. I na pewno powróci.

Ksieźna i jej karzeł

W Muzeum Narodowym we Wrocławiu znajduje się kamienny sarkofag, pochodzący z XIV wieku, przywieziony z kolegiaty głogowskiej. Wyrzeźbiono na nim leżącą postać księżnej Mechtyldy, żony Henryka III, największego z głogowskiej linii Piastów. U stóp księżny leży pokraczny karzeł w czerwonym kapturze. Dziwne rzeczy opowiadają o tym karle. Warto posłuchać jednej takiej opowieści. A czy prawda to, czy zmyślenia nudzących się dwórek? Nie nam to dzisiaj rozstrzygać. Czas zatarł ślady tamtych wydarzeń. Ale posłuchajmy.

Być karłem, to może i w średniowieczu nie największe nieszczęście. Ale być kulawym karłem i to w dodatku na dworze księcia Henryka, to już doprawdy przesada. Nie to żeby książę był złym człowiekiem, czy też odznaczał się szczególnym okrucieństwem. Był taki jak inni w tamtych czasach. Wysoki i przystojny, zdrowy i silny, potrafił się bawić bez umiaru i hojny był przy tym również ponad potrzeby, ale też i nie pobił swoim wrogom. Mówią, że swojego sąsiada i krewnego, grubego Henryka legnickiego uwięził w lochach głogowskiego zamku. I to jeszcze nie było by jeszcze niczym nadzwyczajnym, ale zamknął go w żelaznej klatce, tak małej, że nieszczęsny książę nie mógł ani leżeć, ani siedzieć. A wszystko to po to aby uzyskać od niego okup w postaci części jego ziem. Politykę też wielką uprawiał i „dziedzicem królestwa polskiego” kazał siebie nazywać, przypominając wszystkim, że korona ta jemu właśnie, potomkowi Mieszka i Chrobrego, się należy. I nie były to tylko jałowe marzenia. Nie o księciu jednak będziemy chcieli opowiedzieć

Karłem księżę się nie interesował. Po prostu go nie uważał. Może tylko raz, kiedy podpici knechci zdjęli obrożę z psa i uwiązali go na niej u wrót zamkowych każąc szczekać na wchodzących. Henryk, który kilka dni później wjeżdżał do zamku skrzywił się i kazał zabrać stąd „to ścierwo”, bo śmierdzi. Później już nie reagował na kolejne „zabawy” dworaków ani też nie chciał go widzieć. Wolał ładne dziewczki i dorodne psy, a jednych i drugich nigdy nie brakowało na zamku. A karzeł nie był trefnisiem, nie potrafił nikogo rozweselać, wręcz przeciwnie. Starał się więc zbytnio nie nawijać księciu na oczy, chowając się po mrocznych kątach, zadowolony jeżeli czasem rzucono mu ze stołu nie do końca ogryzioną kość i jeżeli udało mu się ją pochwycić przed psem.

Skoro tematem naszego opowiadania jest karzeł to wypada powiedzieć skąd się on wziął w głogowskim zamku. Przybył z Brunszwiku, ale i tam nie znano jego pochodzenia. Po prostu żył przy dworze, przebywając zresztą częściej w stajni, oborze czy psiarni niż na pokojach. Kiedyś kopnął go koń, tak nieszczęśliwie, że złamał mu nogę. Zrosła się krzywo i mały karzeł chromał. A, że nie był zabawny, nie umiał opowiadać sprośnych dowcipów ani śpiewać wesołych piosenek, nie potrafił bawić gości, a w dodatku był pokraczny i dziki, nic dziwnego że ani księżę, ani księżna nie cierpieli jego obecności, a oficjalny błazen książęcy, który też był karłem tylko trochę większym, nienawidził go z całej duszy, instynktownie, chociaż niepotrzebnie obawiając się konkurencji.

Kiedy więc księżę Albrecht wydawał za Henryka głogowskiego swoją córkę Mechtyldę (z ulgą, bo poprzednie narzeczeństwo księżniczki z Erykiem duńskim nie doszło do skutku) obdarzył ją wszystkim tym, co miał zbytecznego na dworze. Kilкома dziewczkami średniej urody, knechtami, których wiek był na tyle podeszły, że nie liczył już na ich dłu-

gą służbę, garbatym praktykantem miejscowego alchemika, który chciał się go pozbyć i kulawym karłem, któremu z tej okazji uszyto nawet pierwszy raz w życiu nowe ubranko z czerwonym kapturem z dzwoneczkami i który miał udawać błazna. Wszyscy oni pojechali do Głogowa. Z czasem knechci poginęli w boju, dziewczki powychodziły za mąż i zostało ich dwóch. Niedoszły alchemik i karzeł.

Garbaty alchemik znalazł swoje miejsce jako pomocnik miejscowego medikusa, magistra Arnolda, któremu przygotowywał mikstury i wyciągi z ziół. I chociaż był mizernej postawy i nosił garb, bano się mu dokuczać. Patrzył bowiem spode łba, unikał ludzi i mamrotał niezrozumiałe słowa. Taki jak nic może rzucić urok. Mówiono nawet, że niejedna tajemnicza śmierć na dworze została przez niego spowodowana, chociaż nikt tego nie wiedział na pewno, a ludzie umierali wówczas łatwo i często. Karłem natomiast nikt się nie przejmował i nikt go nawet nie traktował jak człowieka, tak bardzo, że nie znano nawet jego imienia. I dziwna rzecz tych dwóch, tak bardzo pokrzywdzonych przez los, w jakiś sposób się lubiło. Może to nawet nie była sympatia. Po prostu tolerowali się wzajemnie. Zresztą mała izdebka medykusa, a właściwie komórka przylegająca do niej, w której przygotowywano leki, była jedynym ludzkim miejscem, w którym karzeł mógł przebywać bez obawy, że ktoś go uderzy albo kopnie. Tutaj też, w kącie pod stołem, miał swoje posłanie i tutaj spędzał znaczną część życia.

Ale w tej szarej i bezbarwnej vegetacji było coś, co jak promyk słońca w mrocznej komnacie rozświetlało tęczowym blaskiem ponurą rzeczywistość. Tym czymś, albo raczej tym kimś była księżna Mechtylda. Nie to, żeby zwracała na niego szczególną uwagę. Zajęta codziennymi sprawami, a przede wszystkim rodzeniem i wychowywaniem dzieci (miała ich dziewięć), modlitwą i aktami miłosierdzia, nie miała

ani czasu ani głowy dla biednego karła. Ale była jedyną kobietą na dworze, która od czasu do czasu się do niego uśmiechnęła, przemówiła w sposób normalny, nie łajac go grubym słowem i nie szturchając i nie pozwalając w swojej obecności naśmiewać się z niego. Może z wrodzonej dobroci, a może i z tego powodu, że jej życie również nie było ani zbyt barwne, ani specjalnie ciekawe. Chociaż nie mogła się skarżyć. Książę traktował ją dobrze. Przy obcych okazywał szacunek. A, że zabawiał się z jej dwórkami. Cóż, w tym nie widziała niczego nadzwyczajnego. Tak postępowali jej ojciec i bracia. Dopóki były to sprawy przelotne... Widocznie inaczej być nie może.

Raz jednak nad księżną zawisło prawdziwe niebezpieczeństwo. A zaczęło się zupełnie niewinnie. Z dalekiej Italii przybył rycerz, a z nim młoda dziewczyna, ponoć jego córka. Rycerz, biorąc udział w turnieju z okazji imienin księcia został ugodzony kopią tak nieszczęśliwie, że w kilka godzin później umarł, nie odzyskawszy przytomności. Pozostałą córką, nie córką, zajęła się księżna i przyjęła ją do siebie. Dziewczyna była zręczna, usłużna i szybko zaskarbiła sobie zaufanie pani. Żadna tak jak ona nie umiała zgrabnie przewinać dziecko, uspokoić go piękną włoską kołysanką. Ciekawie też opowiadała o zamkach i ludziach, których spotkała w czasie długiej wędrówki. Ale była też piękna. Czarne włosy i ciemne, duże oczy błyszczały zalotnie, a jej kształty i ruchy miały w sobie coś niezwykłego na skromnym glogowskim dworze. I stała się rzecz najgorsza, chociaż do przewidzenia. Książę stracił głowę. Wodził za nią nieprzytomnym wzrokiem i wyraźnie szukał jej towarzystwa. A Manuela była przebiegła. Świadoma swoich wdzięków pozornie nie zwracała na niego uwagi, co zresztą jeszcze mocniej go podniecało. Na dworze wrzało. Dwórki szeptały po kątach. Księżna chodziła smutna. A w izbach czeladnych opowiadano sprośne dowcipy. Książę tracił głowę. Nie pojechał na zjazd z Henrykiem wrocław-

skim. Nie wyjeżdżał na łowy. Chodził po zamkowych komnatach zły i naburmuszony i biada temu, kto nieopatrznie zwrócił na siebie jego uwagę. Książę jednak nie był romantycznym rycerzem. Nie układał wierszy i nie śpiewał pięknych pieśni pod oknami ukochanej. Po prostu wezwał zaufanego sługę. Kazał mu przygotować mały zameczek w Polkowicach i tam po cichu zawieść Manuelę.

Książę był przekonany, że jego plan pozostanie w tajemnicy. Ale na dworze nie było tajemnic. Karzeł dowiedział się o tym jeszcze tego samego dnia. Siedząc w kącie pod schodami posłyszał jak stara klucznica mówiła swojej zaufanej, że Pani grozi niebezpieczeństwo, może nawet to najgorsze ze strony księcia, bo Manuela jest przebiegła i nie zadowolili się rolą ukrytej metresy i zrobi wszystko żeby zająć jej miejsce w zamku. Karzeł nie lekceważył takich pogłosek. Na dworze zbyt łatwo ginęli ludzie. Postanowił działać natychmiast. Wypatrzył chwilę kiedy w komórce medikusa nie było nikogo, dobrał się do skrzynki, w której przechowywał on swoje mikstury. Wiedział w której buteleczce jest trucizna, bo jego garbaty przyjaciel pokazywał mu ją kiedyś ze złośliwym uśmiechem. Ulał trochę do znalezionej w izbie flaszeczki. Potem już wszystko poszło łatwo. Manulea zjadła kolację i poszła spać. Podobno w nocy rozszalała się okropna burza. Wicher łamał drzewa, a piorun uderzył w wieżę zamkową, odłupując kawałek muru. Rano Manuelę znaleziono martwą. Dworzanie, a w szczególności dwórki mówili coś o karze boskiej. Kapelan znacząco patrzył w sufit i rozkładał ręce. Książę rozpaczał trzy dni, pijąc zresztą na umór, po czym pojechał do Przemkowa, gdzie, jak mówiono, mieszkała niezwykle powabna mieszcza. Tam zabawił kilka dni, a po powrocie natychmiast zaczął przygotowania do kolejnej wyprawy wojennej. Jednym słowem życie zaczęło toczyć się normalnie.

Mijały lata. Karzeł żył na dworze, stopniowo coraz mniej zwracając na siebie uwagę otoczenia. Nigdy już nie było mu danym odegrać jakąś bardziej znaczącą rolę, ale też i nie miał takich ambicji. Był zadowolony z tego, że ma co jeść i pić i ciepły kąt do spania i jeszcze z tego, że od czasu do czasu może popatrzeć na swoją panią. Więcej niczego nie pragnął. Wydawało się, że różne wydarzenia na dworze nie mają dla niego żadnego znaczenia. Nawet zgon księcia, który umarł nie doczekawszy się upragnionej korony. Jego te sprawy nie dotyczyły.

Spokojnie też toczyło się życie księżnej Mechtyldy. Przeżyła śmierć męża. Patrzyła na początek rządów synów i zgasała tak jak żyła, cicho i spokojnie. Odbyły się uroczyste egzekwie i pochowano ją w kolegiacie NMP na Ostrowiu Tumskim. I nie było by w tym nic dziwnego. Taki jest przecież porządek rzeczy, że po życiu następuje śmierć, gdyby nie to, że nazajutrz na świeżej jeszcze mogile księżny odnaleziono karła. Leżał martwy, ubrany w swój paradny strój, ten sam który uszyto mu wówczas gdy jechał do Głogowa, z czerwonym kapturem na głowie. Mówiono, że karzeł nie mógł przeżyć śmierci swojej pani, którą jedyną, kochał głęboką chociaż niespełnioną, miłością. W zaciśniętej dłoni trzymał małą flaszeczkę, ale nikt nie odważył się sprawdzić co takiego mogła zawierać.

Po latach, kiedy rzeźbiono sarkofag księżny Mechtyldy, umieszczono postać karła w czerwonym kapturze u nóg księżny. Odtąd przez wiele wieków leżeli spokojnie w głogowskiej kolegiacie razem, księżna i jej karzeł. A w mieście opowiadano dziwy. Mówiono, że przed każdym wydarzeniem, które ma być nieszczęściem dla Głogowa w kolegiacie ukazuje się mały karzeł w czerwonym kapturze i zawsze wtedy na dworze szaleje okropna burza z piorunami. Ostatni raz miał się pokazać w przededniu zawalenia się wieży kolegiaty w

1831 r. Nie wiemy czy ukazał się również w 1945 r. kiedy to i miasto i kolegiata przeżywały swoją zagładę. Może zresztą nie. Pewno takie totalne nieszczęście przekraczało nawet jego wyobraźnię. Może błąka się dzisiaj nocami po ruinach budynku, czekając, na jego odbudowę. Ale my mamy nadzieję, że dobry Bóg zwolnił go już od ziemskiej pokuty. A nawet, jeżeli tak się nie stało, oby nigdy już nie musiał się ukazywać ludziom, od których tak mało dobrego zaznał w swoim życiu.

Ksiaze i jastrzab.

Dawno, dawno temu, tak dawno, że najstarsi ludzie już tego nie pamiętają, żył w głogowskim zamku możny książę Henryk. Był bardzo potężny. Sąsiedzi bali się go i szanowali. Mówiono też, że za zgromadzone przez niego w zamkowych piwnicach skarby można było kupić nie jedno takie księstwo. Słyszał z mądrości i rozważi przy podejmowaniu decyzji. Dobry Bóg obdarzył go nadto rozumną żoną i udanym synem. Słowem, zdawać by się mogło, niczego mu do szczęścia nie brakowało

Książę Henryk żył i panował w Głogowie długo i szczęśliwie. Jego syn, również Henryk, bo imię to wśród głogowskich Piastów było dziedziczne, był zachwycającym dzieckiem. Oczy miał duże i ciemne, po matce, a główkę otaczała aureola jasnych loków. Kiedy podrośł, a wyrósł ponad miarę, ojca o głowę przerastając, osiągnął wielką biegłość w ćwiczeniach rycerskich, a na polowaniu nikt nie mógł mu dorównać w zręczności i odwadze. Mówiono, że na niedźwiedzia chodził z oszczepem, a bywało brał się z nim za bary i zwyciężał. W naukach mniej był biegły, ale w owych czasach wystarczyło, że młody człowiek umiał się podpisać, a z książki do nabożeństwa przeczytać kilka modlitw. Więcej nie potrzebował, pisanie i czytanie skrybom i mnichom zostawiając, których zawsze, przynajmniej kilku, kręciło się przy dworze. Były to bowiem jeszcze te dobre czasy, kiedy słowo księcia miało moc większą niż dokumenty, a jego poddanym nie wypadało nawet upominać się o pergamin, tym bardziej jeżeli słowo to padało z ust samego księcia Henryka.

Ale młody książę był dziwny. Bywało, na polowaniu, zatrzyma konia na wzgórzu i zamyśli się o czymś patrząc na odległy horyzont, nie bacząc na to, że zwierz ucieka i nagonka się oddala. Wieczorami stawał na murach zamkowych i długo o czymś rozmyślał, zawsze też patrzył przy tym gdzieś daleko, jakby oczekiwał stamtąd ważnych wieści albo spodziewał się zobaczyć coś nadzwyczajnego. Uczł i zabaw rycerskich nie unikał, ale też nie zdradzał do nich specjalnej ochoty. Dla towarzyszy był uprzejmy, nalewane mu puchary spełniał jeden po drugim, ale tak jak gdyby było mu to zupełnie obojętnym. Sprośnych pieśni z innymi biesiadnikami nie śpiewał, na zaczepki nie odpowiadał, jeno uśmiechał się spokojnie i pogodnie. Często zamyślał się przy tym o czymś głęboko. Najgorsze było to, że nawet dziewczki, których wiele bardzo urodnych kręciło się przy dworze, a niejedna z nich chętnie uprzyjemniła by młodemu księciu jego samotność, zdawały się go nie obchodzić. Jednakowo dla wszystkich uprzejmy, nikogo przy tym nie wyróżniał. Za to rybałtów i innych obieżyświatów, których dużo przybywało z różnych stron, pilnie słuchał, a jeżeli któryś z nich był bardziej w świecie bywały, a umiał przy tym ciekawie opowiadać o dalekich krajach i ludziach, to już nie puszczał go od siebie całymi tygodniami, każąc wielokroć powtarzać różne dziwne i straszne opowieści.

Martwił się stary książę takim postępowaniem syna. Właściwie martwili się oboje księstwo, jeno że księżna trwała w przekonaniu iż to dziwne usposobienie syna minie wraz z wiekiem pacholęcym i z czasem stanie się on podobny do innych rycerzy. Czas jednak upływał i nic się nie zmieniało, przeciwnie młody książę stawał się coraz bardziej posępny. W końcu książę Henryk nie wytrzymał. Kazał podać sobie puchar starego węgrzyna, wychylił go i poszedł rozmówić się z żoną:

- Martwię się o naszego syna, Pani - zaczął książę. Pośepny jakiś. Trudno od niego słowo wydusić.

- Nie przesadzajcie, Panie. Księżna próbowała rozładować napięcie męża. Młody jeszcze, to i nie dziwota, że różne myśli chodzą mu po głowie. Przyjdzie czas, usatkuje się.

- Kiedy jest coraz gorzej, a pora już aby go do rządzenia krajem sposobić. Ja już szmat życia przeżyłem, zdrowie już nie to co dawniej to i koniec może być rychły, a chciwych sąsiadów nie brakuje. Tymczasem on chodzi zadumany i jeno rybałów słucha, a może i sam pieśni układa. Nie godzi się to księciu.

- A wiecie Panie - księżna odważyła się wypowiedzieć myśl, która od jakiegoś czasu nie wychodziła jej z głowy - a może by go tak ożenić? Wszak dawne przysłowie mówi „jak się ożeni, to się odmieni”. Znajdźmy mu żonę młodą, urodną, a wesołą, to wnet mu smutne myśli przejdą i do rówieśników stanie się podobny. A jak wnuki zaczną po komnatach biegać to i nam na starość będzie weselej.

Książę się wyraźnie ucieszył. Był człowiekiem czynu i nic go tak nie męczyło jak jałowe czekanie nie wiedzieć na co. A ożenek? O, to jest coś konkretnego czym można i należy się zająć. Szybko zaczął myśleć z którym z okolicznych książąt należy zacieśnić sojusz, który z nich miał na wydaniu córkę w odpowiednim wieku i jakie wiano mogła ona ewentualnie wnieść. Rychło też okazało się, że nie trzeba szukać daleko. Zaraz za miedzą książę Jarosław miał córkę, a należące do niego trzy przygraniczne zameczki ogromnie by się przydały i przy tym pięknie zaokrągliły by księstwo głogowskie. Henryk wojował nawet o nie niegdyś z Jarosławem, ale nie mógł ich zdobyć. A przy tym Jarosław nie miał syna. Kto wie, może kiedyś...

Książę postanowił działać szybko. Zaraz następnego dnia wyjechał do Żagania książęcy wódarz, człowiek bywały

i wymowny, który na głogowskim dworze uchodził za pierwszorzędny dyplomata. On miał się zresztą tylko wstępnie wywiadywać, czy zamiar taki byłby po myśli Jarosława. Potem obaj książęta spotkali się w jednym z tych przygranicznych zameczków, gdzie jak mówią, tego pili przez cały tydzień i nie tylko że ugodzili się co do zamężcia dzieci, ale też przysięgli sobie dożywotnią przyjaźń i już z góry cieszyli się tym, jak to razem pobiją tego paskudnika Wacława z Legnicy, który nie dość że słucha jakichś podejrzanych czeskich husytów, to jeszcze nasyla w ich granice oddziały swoich rabusiów, którzy palą i rabują okoliczne wsie.

Jak postanowili, tak zrobili. Niedługo potem odbył się ślub i bardzo uroczyste wesele. Młody książę nie sprzeciwiał się. Zdało by się, że jest mu to zupełnie obojętne. Może nawet było przyjemne, bo księżniczka Anna okazała się bardzo ładną dziewczyną, pogodną i wesołą. Ślub odbył się w głogowskiej kolegiacie, wystrojonej na tę okazję i odświeżonej, a udzielał go sam biskup, przybyły na tę uroczystość z Wrocławia, w asyście miejscowych kanoników. Potem przez udekorowany flagami i kwiatami most orszak weselny udał się do zamku, gdzie do trwającej kilka dni uczty zasiedli książęta i rycerze przybyli z bliższych i dalszych stron. Dla mieszczan i pospólstwa ustawiono stoły na dziedzińcu zamkowym. Odbywały się zabawy i turnieje rycerskie, a trzeciego dnia burmistrz i rajcowie miejscy złożyli hołd (i bogate dary) młodej parze, po czym odbyła się wielka uczta w ratuszu. Mieszczanie zresztą cieszyli się szczerze, bo książę Henryk dbał o miasto, a jego syn wydawał się być człowiekiem spokojnym i rozważnym, a to gwarantowało długie i dobre interesy miejscowym kupcom i rzemieślnikom. Nawet przedstawiciele głogowskiej gminy żydowskiej zgłosili się na zamek z bogatymi darami.

Minęło kilka miesięcy. Młody książę początkowo się ożywił. Dużo przebywał z żoną, pokazywał jej okolice, a na-

wet organizował dla niej polowania i ucztę, spraszał śpiewaków i lutnistów. Ale po pewnym czasie jego ożywienie minęło. Znowu chodził smutny i zamyślony, zdało by się nieobecny. Przestał okazywać zainteresowanie młodej żonie, która popłakiwała po kątach. Nieodmiennie tylko był spokojny i dla wszystkich uprzejmy. Bardzo długo natomiast wypatrywał czegoś z murów zamku, a czasem wyjeżdżał nagle na kilka dni, tylko w towarzystwie zaufanego giermka, równie milczącego jak jego pan.

Pewnego razu do zamku przybył ze wschodu obcy rycerz. Przywiózł wieść, że król polski szykuje walną wyprawę przeciwko Krzyżakom, że zarządził już wielkie łowy dla przygotowania zapasów żywności i zbiera rycerzy z całego kraju. Młody książę ożywił się. Chciwie wypyttywał go o wszystkie szczegóły, a nawet zabrał rycerza ze sobą na jedną ze swoich tajemniczych wypraw i o czymś długo z nim rozmawiał. Któregoś dnia nagle wyjechał, nikogo nie uprzedzając. Wraz z nim wyruszył jego giermek i jeszcze dwóch pacholków. Zabrali broje, tarcze i miecze. Domyślano się więc, że książę nie wyruszył na polowanie. Razem z nim zniknął również i tajemniczy rycerz. Na dworze plotkowano, że pojechali na wojnę z Krzyżakami. Ale tego nikt nie wiedział na pewno.

Stary książę zamknął się w sobie. Głęboko przeżywał nagły wyjazd syna, a najbardziej to, że ten wyjechał bez uprzedzenia i pożegnania, jak gdyby był zwykłym pacholkiem, a nie dziedzicem potężnego księstwa. Księżna, również głęboko zmartwiona, starała się jednak okazywać pogodną twarz. A że była z natury dobra zajęła się też synową i starała się w miarę możliwości urozmaicić jej pobyt na dworze. A kiedy okazało się, że młoda księżna spodziewa się potomka, na dworze zapanowała radość, tak że prawie zapomniano o nagłym odjeździe księcia. Życie toczyło się po prostu swoją koleją.

Minęło kilka miesięcy. Księżna Anna urodziła dorodnego syna, którego zaraz ochrzczono, nadając mu tak jak jego ojcu i dziadowi imię Henryk, na pamiątkę pradziada, księcia Henryka III, który był władcą potężnym, „dziedzicem królestwa polskiego” i bliskim uzyskania korony królewskiej. Posłano też zaraz gońca do księcia Jarosława i w obu stolicach, w Głogowie i Żaganiu dzwony były w kościołach, a z murów zamkowych strzelano na wiwat. Książę Henryk wydał wielką ucztę i rycerzom okazano następcę książęcego tronu. Dla pospólstwa wytoczono na dziedziniec beczki piwa. Miejscowy astrolog ułożył też horoskop, z którego jasno wynikało, że książętko przewyższy jeszcze sławą i potęgą swojego wielkiego przodka. Mieszkańcy księstwa cieszyli się z tego, że nie przejdą pod obce panowanie, a rządzić nimi będą nadal książęta z głogowskiego, piastowskiego rodu, do których już przywykli i którzy dbali o ich spokój i bezpieczeństwo.

Tymczasem księżna Anna zaczęła niebezpiecznie chorować. Podniosła się wprawdzie po połogu i zajęła pilnie opieką nad synem, ale rychło znowu musiała się pokładać. Błada też była i kaszel dusił ją często. Medikus Arnold przygotowywał różne maści i mikstury. W kolegiacie i kościele parafialnym odbywały się modły za zdrowie księżnej, ale radykalnej poprawy nie było widać. Słabła też z dnia na dzień. Wprawdzie z nadejściem lata zdrowie jej jakby się poprawiło, ale gdy przyszła jesień jej stan pogorszył się tak bardzo, że w każdej chwili spodziewano się najgorszego. Nie pomógł również sławny lekarz sprowadzony w tym celu z Wrocławia, ani nawet zamawianie wiedźmy, którą w wielkiej tajemnicy przywiodła z lasu stara klucznica. Utracono już wszelką nadzieję.

Wtedy to nagle, w ponury jesienny dzień, powrócił młody książę Henryk. Wychudł i zmizerniał, ale pełen był jakiejś dziwnej radości. Miał na sobie bogaty płaszcz sobolowy, a pachołkowie wiedli za nim dziesięć koni objuczonych

prawdziwymi skarbami. Kiedy dowiedział się o chorobie żony, a powiedziano mu o tym nie zwlekając, zbłądził jeszcze bardziej i tak jak stał wbiegł do jej komnaty. Księżna Anna jednak już go nie poznała. Próżno gładził rękoma jej głowę i przemawiał najczulszymi wyrazy. W pewnej chwili otworzyła nawet oczy i spojrzała na niego, ale to był już koniec. Wydała ostatnie tchnienie.

Trudno opisać boleść młodego księcia. Była tak wielka, że aż zaniemógł i nie wziął nawet udziału w pogrzebie. Chorował przez kilka tygodni, a kiedy wstał z łoża kazał się zaraz prowadzić na mogiłę żony, gdzie długo leżał obejmując ją rękoma. Opowiadano, że mamrotał przy tym jakieś słowa w cudzoziemskim języku, ale co mówił tego nikt nie wie, bo bano się podchodzić blisko. Kiedy książę się podniósł, zdało się że jest już zupełnie nieobecny. Z nikim nie chciał gadać, na syna nawet ledwo okiem rzucił, jeno albo w kaplicy albo przy mogile żony przesiadywał. Pewnego poranka nagle wyjechał i wszelki ślad po nim odtąd zaginął.

A po latach na książęcym tronie w Głogowie zasiadł jego syn, książę Henryk. Nie zdradzimy który z kolei, bo złośliwi historycy zaraz będą nam przeczyć twierdząc, że takiego księcia nigdy nie było. Ale oni nie mają racji, bo tylko w zakurzone pergaminy popatrują. My wiemy lepiej, słuchamy bowiem pilnie ludzkich opowieści, które więcej prawdy przekazują niż opatrzone pieczęciami dokumenty. Nie wszystkim jednak można wierzyć. Jeżeli będą wam opowiadać, że w jesienne wieczory duch księcia Henryka błąka się po nadodrzańskich łąkach pobrzękując łańcuchami, to temu nie wiercie. My wiemy natomiast, że na wieży głogowskiego zamku ma swoje gniazdo dorodny jastrząb. Dziwny jakiś. Wokół niego pobudowały swoje gniazda gołębie, a nawet zupełny ptasi drobiazg, a on ich nie rusza, lecąc gdzieś daleko na swoje łąwy. Mówią, że wcielił się w niego duch zmarłego księcia,

który w ten sposób pokutuje za to, że za życia wzgardził ziemską miłością. I będzie pokutował tak długo aż znajdzie się młoda gołębica, która zechce wieść z nim wspólne życie w tym gnieździe. Nie wszyscy jednak mogą dojrzeć tego ptaka. Ponoć przywilej taki mają tylko zakochani w sobie nowożeńcy. Ci jednak, którzy go zobaczą, będą żyli długo i szczęśliwie i zawsze będą pałać do siebie ogromną miłością.

Alchemik Piotr.

Działo się to za panowania księcia Jana, kiedy to po zakończeniu długiej i krwawej wojny o sukcesję na tronie książęcym, po wypędzeniu księżnej Małgorzaty, osiadł on wreszcie w głogowskim zamku. Wydawało się, że książę powinien być zadowolony. Odzyskał dziedzictwo przodków, a i stosunki z sąsiadami jakoś się w końcu ułożyły. Co więcej, nawet niechętny mu początkowo król Maciej przyjmował go łaskawie i zapewniał o swoim poparciu. Słowem - wszystko zaczynało iść w dobrym kierunku.

Książę jednak był niespokojny. Może w wyniku długoletniego napięcia, kiedy to stale mu coś groziło, a okresami nawet trzech wrogów ścigało go równocześnie. Może wynikało to z niespokojnego charakteru księcia, którego nawet współcześni nazywali „Szalonym”. A może przyczyny były zgoła inne, i kto je dzisiaj odgadnie, po upływie tylu lat. Dość, że książę nie mógł sobie znaleźć miejsca. Chodził nerwowo po komnacie wyrzucając z siebie polskie i niemieckie przekleństwa. Zarządzał ucztą i zabawy, spraszał gości, a potem nagle wszystko odwoływał. Wysyłał gdzieś gońców, a później niecierpliwie oczekiwał ich powrotu, ale kiedy się pojawili, wydawało się, że stracił już zainteresowanie przywiezionymi wieściami. Nagle wyjeżdżał na polowanie, a potem długo nie wracał, błakając się samowtór ze swoim nieodłącznym sługą i przyjacielem - Margosem. Sypiał też niespokojnie. Bywało, zrywał się w nocy z krzykiem, kazał zapalać światła i podawać wino. Dworzanie mówili, że księcia straszą upiory rajców, których kazał zamorzyć głodem w wieży zamkowej. Ale mówili bardzo cicho, bo się bali.

Stary sługa również wydawał był niespokojny. Przywykł już wprowadzić do gwałtownego i nieobliczalnego zachowania księcia, ale teraz sytuacja była zupełnie inna.

- Bezczyność Pana zabija - mrucał pod nosem i był chyba bliski prawdy. Gorączkowo też szukał czegoś, co mogło by zainteresować księcia, oderwać go od smutnych myśli, a może nawet i złych przeczuć. Niestety, niczego takiego nie mógł znaleźć.

Pewnego razu jednak, kiedy siedział nad szklanicą miodu w gospodzie „Pod Niebieską Butelką”, przysiadł się do niego jakiś dziwny podróżnik. Musiał przybyć z daleka, świadczył o tym jego ubiór, wygnieciony i pokryty pyłem, chociaż po wyglądzie, sposobie zachowania i mowie znać było, że nie jest człowiekiem gminnego pochodzenia. Przybyły początkowo nie zdradzał chęci do rozmowy, znać że był strudzony drogą, a może i humor mu nie dopisywał. Kiedy jednak zorientował się, że ma do czynienia z dworzaninem i zaufanym księcia jego zainteresowanie nagle wzrosło.

- A więc jesteście Panie przyjacielem księcia - zwrócił się do Margosa - kto wie może i ja mógłbym się przydać waszemu panu.

- O czym mówicie, panie?

- Widzicie dostojny panie - przybysz wyraźnie pragnął sobie zaskarbić przychyłność Margosa - ja wracam z Italii, gdzie przez wiele lat studiowałem u tamtejszych mistrzów. Umieję choroby leczyć i horoskop ułożyć, mam różne zioła i maści, a i amulety od wszelkiej przygody chroniące.

- Iii, książę na to nie łąsy. Od lat już przywykł sam sobie radzić i chwalić Boga, jakoś sobie radzi niegorzej. Musicie panie gdzie indziej poszukać potrzebujących.

- Znam również tajemne zaklęcia. Od złego uchronią i w miłości są pomocne.

- Tego nasz książę nigdy nie potrzebował. Od złego sam się chronił, a dziewczki miał na każde zawołanie.

- Umiem i złoto z ołowiu uczynić, ale to rzecz trudna, niebezpieczna i czasu wymaga.

- Złoto, powiadacie - Margos wyraźnie był poruszony. Skarb księcia był jak zwykle pusty i książę gorączkowo szukał gdzie i od kogo by tu pożyczyć. Kto wie może będę mógł wam pomóc panie - powiedział ostrożnie.

- Uczynicie to panie, to i dla was złoto uładzę.

Margos spiesznie udał się na zamek i pomimo późnej pory zaraz poszedł do księcia. Ten zresztą jeszcze nie udał się na spoczynek. Siedział przy kominku ze szklanicą w ręku i tępo patrzył w ogień. Obok błazen wywijał kozły usiłując w przerwach rozweselić pana wesołymi historyjkami, ale książę nie zwracał na niego uwagi.

- Czego chcesz? Książę nie wydawał się zachwycony przybyciem sługi.

- Panie, do miasta przybył alchemik. Powiada, że złoto umie czynić, a i zaklęcia zna różne...

- Złoto, powiadasz. Dawaj go szybko.

Margos rzucił się do drzwi. Wiedział, że książę nie lubił czekać. Nie minęło kilka pacierzy jak sprowadzono alchemika. Ten wszedł do komnaty i widząc siedzącego na fotelu księcia skłonił mu się nisko, ale bez zbytnej pokory.

- Panie! Przybywam z dalekiej Italii gdzie przez wiele lat pilnie studiowałem u wielkich magów sztuki tajemne. Umiem choroby leczyć, krew puszcząć, horoskop układać, znam wiele

zaklęć i wróżb, mam różne amulety od nieszczęścia chroniące...

- Nie bajdurz. Księżę przerwał mu niecierpliwie. Złoto umiesz robić?

- Umiem, Panie, ale to sprawa trudna, niebezpieczna i czasu wymaga.

- Dobra, zaczynaj.

Astrolog obejrzał się niespokojnie. Widząc jednak, że księżę zniecierpliwiony jest nie na żarty, postanowił zaryzykować.

- Mógłbym i zaraz próbę uczynić, ale muszę przynieść ingrediencje pewne i instrumenta, które mam w gospodzie.

- Ty tu zostaniesz. Margos, każ przynieść jego rzeczy, a chyżo. I chcę widzieć jak będziesz robić złoto.

Nie minęło kilka pacierzy jak pachółkowie wnieśli do komnaty wielki kufer i dwa tłumoki. Astrolog rozpoczął przygotowania. Najpierw wyjął i rozłożył na stole wielką księgę, pełną tajemniczych znaków, potem ostrożnie wydobył z kufra niewielkie miedziane naczynie i ustawił je na trójnogu przy ogniu. Wlał do niego po kilka kropli płynu z różnych buteleczek mamrocząc przy tym zaklęcia. Niektóre z nich wypowiadał głośno, inne cicho, a wszystko to w jakimś tajemniczym i nikomu nieznanym języku. Z naczynia buchnął kolorowy dym i po komnacie rozszedł się dziwny zapach. Wtedy astrolog głośno wypowiedział jakieś zaklęcie i zwrócił się do księcia.

- Tutaj panie, jest kawałek ołowiu. Mocą władzy danej mi przez duchy świata zamienię go w złoto.

- Pokaż! Księżę ciągle niedowierzał.

- Proszę, panie - astrolog podał mu metal.

Książę ujął go w rękę, popatrzył pod światło, zważył w dłoni, a nawet spróbował zębami.

- Ołów. Nieprawdaż Margos?

- Ołów panie, ani chybi.

- No zaczynaj!

Astrolog wziął okruch ołowiu, położył go na chusteczce i zaczął wymawiać nad nim tajemnicze zaklęcia, czyniąc przy tym jakieś znaki rękoma. Potem znowu wlał coś do naczynia, buchnął dym, a on ostrożnie wrzucił tam kawałek metalu. W izbie stało się jakoś strasznie, może od dymu, a może od tych zaklęć i czarów. W pewnej chwili astrolog podniósł obie ręce do góry, ogień na kominku jakby przygasł. Uderzył trzymaną w rękę pałeczką w naczynie po czym głośno i uroczyście powiedział:

- Dokonało się.

Ostrożnie wyjął szczypcami metal z naczynia, ostudził go w wodzie, starannie wytarł chustą i z ukłonem podał księciu.

- Złoto, Margos. Mamy złoto! Książę promieniał radością.

- Z pomocą duchów ziemi, mocą danej mi władzy... zaczął astrolog.

- Dobra, dobra,- przerwał mu książę - z nieba mi spadłeś. Uczynimy tak. Ja teraz pójdę spać, a ty mi do rana zrobisz jeszcze dziesięć takich kawałków. Wiesz, nie, lepiej dwadzieścia. Co? A może trzydzieści? A jutro zobaczymy.

- W żaden sposób nie da rady, panie. W jedną noc tylko raz można to uczynić, a przedtem trzeba posłać do Italii po proszek z mumii i kamień świętego Hilarego. Bez tego żadna transmutacja się nie uda, a i tak nie zawsze się udaje. Zaskar-

bić trzeba przychylność mocarnych duchów. Dary bogate im złożyć i postami ugładzić.

- Cooo? Sprzeciwiasz się? - książę spurpurowiał z gniewu. - Odmawiasz księciu? Już ja ci pokażę kto tu rządzi. Postów chcesz? Już ja ciebie wyposzczę. Do lochu z nim.

Dwóch roślących knechtów porwało alchemika pod ramiona i zanim zdążył powiedzieć słowo wywlekli go z komnaty. Bez słowa przeciągnęli przez korytarz i jakieś zakamarki, aż znaleźli się w wieży zamkowej. Jeden z nich otworzył klapę w podłodze, a drugi wepchnął go przez otwór. Astrolog spadł jak tłumok na wiązkę na wpół zgniłej słomy. Knechci zarechotali coś do siebie i zatrzasnęli klapę. Zapanowała ciemność i cisza.

Astrolog dłuższą chwilę nie mógł dojść do siebie. Wstrząs wywołany upadkiem, ciemność otaczająca go ze wsząd, okropny smród, spowodowały że zapadł w odrętwienie. Stopniowo jednak przytomność powróciła i zdał sobie sprawę w jakże straszliwym znalazł się położeniu. Wstał i próbował dotrzeć do ściany. Wokół był mur z cegły. Zrozumiał, że znajduje się w dolnej wieży, w miejscu do którego wtrącano skazanych na śmierć głodową.

Ogarnęła go rozpacz. Początkowo próbował krzyczeć i wzywać ratunku. Później osłabł i przestał. Przerazający strach paraliżował jego mięśnie. Chwilami tracił świadomość, zapadał w półsen, nawiedzały go sny dziwne i straszne. Potem znowu trzeźwiał i te chwile były najokropniejsze. Czuł się wtedy żywcem pogrzebany, zapomniany, opuszczony. Próbował się modlić, potem znowu krzyczał i walił pięściami w mur. I znowu popadał w odrętwienie.

Nie wiadomo jak długo tak siedział w zupełnej ciemności. Do lochu nie dochodził nawet najmniejszy promyk

światła, ani też żaden odgłos. Raptem na górze rozległy się kroki. Ktoś podniósł klapę w suficie i jakiś głos zawołał:

- Hej alchemiku, żyjesz jeszcze?

Zdołał wykszusić tylko nieartykułowany dźwięk.

- Szybko, wyłaż na górę.

Przez otwór w powale wsunięto drabinę. Astrolog sam nie wiedział jak zdołał się po niej wspiąć. Na górze jednak zachwiał się i byłby upadł, gdyby nie podtrzymał go Margos.

- No, nie zdychaj. Księżę chce ciebie widzieć. Tylko radzę nie sprzeciwiaj się. To jeszcze nikomu nie wyszło na zdrowie.

Księżę stał na dziedzińcu ubrany do drogi.

- No co, alchemiku, popościłeś trochę? A może za mało? Będziesz teraz robić złoto, czy chcesz jeszcze do lochu?

- Będę panie, będę.- wyjąkał alchemik drżącym głosem, nie bardzo zdając sobie sprawy z tego co mówi.

- No to słuchaj. Wróć za miesiąc. Potem chcę mieć sto sztuk złota, albo lepiej dwieście. Margos. Zamknąć go w pracowni, dać jeść, pić a aptekarz niechaj mu przyniesie tego co potrzeba. I pilnować dobrze. Głową odpowiesz, stary. No, bywaj.

Księżę dosiadł konia, wypadł przez bramę z poczem rycerzy i tyle go widzieli. Alchemika zaprowadzono w najdalszy kąt zamku do sklepionej, ogromnej piwnicy, w której niegdyś mieściło się laboratorium nadwornego alchemika księcia Henryka. Przyniesiono jedzenie, a nawet dzban piwa. Rozpalono ogień na kominie. Po czym drzwi zamknięto na ogromną zasuwę. I znowu został sam.

Najpierw jadł i pił. Potem zasnął. Później obudził się i znowu jadł. Stopniowo doszedł do siebie. Zrozumiał, że na razie uratował życie, ale miesiąc szybko minie i niebez-

pieczeństwo wróci. A przecież on żadną miarą nie potrafi zrobić złota. Ten kawałek, który „wyczarował” księciu był jedynym jaki posiadał. Cała jego umiejętność polegała przecież na zręcznym wrzuceniu go do naczynia zamiast ołowiu. Gorączkowo szukał wyjścia z beznadziejnego położenia. Niestety nic mu nie przychodziło do głowy.

Wolno upływały dni. Codziennie młody pacholek w towarzystwie ponurego knechta przynosił mu jedzenie i napój. Alchemik próbował z nimi rozmawiać, ale chłopak był niemową, a knecht przypuszczalnie nie rozumiał co do niego mówi. Margos przyniósł mu naczynia i substancje, których zażądał, ale również nie miał ochoty do rozmowy. Ponaglał go tylko, żeby szybciej robił złoto, bo księżę może wrócić lada dzień. Alchemik beznadziejnie łamał sobie głowę nad sposobami wyjścia z beznadziejnego położenia. Tymczasem nic mu nie przychodziło do głowy. Mury piwnicy były grube. Okienko małe, umieszczone wysoko pod sufitem, a w nim kraty na grubość ludzkiego ramienia. Słowem, sytuacja zupełnie beznadziejna.

Alchemik oczywiście starał się sprawiać wrażenie, że coś robi. Rozłożył instrumenty i w chwilach kiedy przynoszono mu jedzenie wydawał się bardzo zajęty. Coś ucierał i przesypywał mrucząc przy tym zaklęcia. Kiedy jednak zamykano żelazne drzwi i zasuwano zasuwę, a potem kroki oddalały się, przestawał udawać. Godzinami leżał na barłogu i gapił się w sufit, albo chodził wokół komnaty, starając się nie myśleć co się z nim stanie. Pewnego razu potknął się o pozostawiony na podłodze tłuczek. Klnąc z bólu podniósł go i rzucił ze złością o ścianę. Bezmyślnie poszedł dalej, ale raptem przystanął. Coś go zaniepokoiło. Ale co to było? Jeszcze raz podniósł tłuczek i uderzył nim w to samo miejsce. Odpowiedział mu głuchy odgłos. Tak, tam za murem musiała być pustka. Zaczął gorączkowo walić w mur nie bardzo nawet zastanawiając, czy ktoś

go nie usłyszy. Zresztą ta część zamku i tak wydawała się niezamieszкана. Mur był bardzo słaby. Pod tynkiem cegły ledwo się trzymały i szybko wykruszył jedną. Gruz posypał się na drugą stronę. Tak, tam było jakieś pomieszczenie.

Stopniowo otwór powiększał się. Alchemik poświecił łuczywem. Za ścianą schody prowadziły stromo w dół. Dalej wszystko poszło już bardzo szybko. Jeszcze kilka wyjętych cegieł i znalazł się w wąskim korytarzyku. Szybko zszedł po schodach. Potem poziom się wyrównał, ale końca korytarza nie było widać. Sklepienie było niskie, beczkowate, tak że idąc musiał się pochylać. Trochę się bał, ale zdawał sobie sprawę, że nie ma nic do stracenia. Szedł korytarzem prosto przed siebie. Chwilami kapłała mu na głowę woda, ale powietrze było dosyć świeże. Wydawało mu się, że idzie już bardzo długo, a końca podziemnego korytarza nie było widać. Raptem, w słabym świetle pochodni zobaczył znowu schody, tylko że tym razem prowadzące w górę. Podniósł wzrok i zobaczył światelko. Ostrożnie wspiął się po schodach. Kiedy stanął na ostatnim stopniu stwierdził, że jego głowa wystaje nad ziemią. Jeszcze kilka ruchów i stanął w nieznanym mu miejscu, zarośniętym krzakami. Ostrożnie wyszedł na otwarte miejsce. Była noc. W świetle księżyca zobaczył leniwie płynącą Odrę, a po drugiej stronie zamek, w którym jeszcze przed chwilą był więziony. Zrozumiał, że jest uratowany. Szybko ruszył przed siebie. Do polskiej granicy miał tylko kilkanaście kilometrów.

Rano Margos, który spodziewał się szybkiego powrotu księcia postanowił zajrzeć do alchemika. Kiedy wszedł do piwnicy i zobaczył co się stało ogarnęło go przerażenie. Co powie książę? On w gniewie mógł przecież zrobić wszystko. Najpierw chciał zarządzić pogoń, ale się powstrzymał. Alchemik przecież musiał już być w Polsce, a tam... Szukaj wiatru w polu. Zaczął więc myśleć i... wymyślił. Szybko przytaszczył z

sąsiedniej piwnicy barylkę z prochem, włożył lont i zapalił szczapą z kominka. Kiedy był już na dziedzińcu rozległ się huk i mury zamku zatrzęsły się w posadach. Kto żyw wybiegł zobaczyć co się stało. Cały narożnik zamku leżał w gruzach. Zawaliła się część sklepienia. Prawie cała komnata alchemika zniknęła pod zwałami cegły. Tylko w kącie poniewierała się jego ogromna księga.

- Diabeł zabrał alchemika - krzyknął Margos.

Ludzie zaczęli żegnać się nabożnie i ze strachem uchodzić jak najdalej od przeklętego miejsca. Kilka dni później wrócił książę, ale był tak zaaferowany, że z niewielką uwagą wysłuchał opowieści Margosa. Tylko starą księgę kazał zabrać i zanieść do swojej komnaty.

Niedługo potem książę Jan opuścił zamek już na zawsze. Ścigany przez swoich nieprzyjaciół musiał zrzec się księstwa głogowskiego na rzecz króla Macieja. Osiedł potem w Wołowie, gdzie mieszkał przez wiele lat. I dziwna rzecz. Ten szalony książę, który niczego w życiu nie czytał, w nic i nikomu nie wierzył, zaczął się rozczytywać w starej księdze alchemika. Urządził sobie pracownię alchemiczną i do końca życia usiłował wydestylować w niej złoto. Oczywiście złota nie uzyskał. Ale i tak wynik jego pracy był pozytywny. Książę przestał najeżdżać i gnębić swoich sąsiadów. Miał już inne zajęcia.

A w Głogowie do dzisiaj krążą dziwne opowieści o podziemnym przejściu pod Odrą. Są nawet tacy, którzy utrzymują, że po zakończeniu działań wojennych tamtędy przechodzili. Kto wie. Może ktoś kiedyś odnajdzie to przejście i może znajdzie w nim porzuconą pochodnię alchemika.

Biała Dama

Działo się to wkrótce po tym kiedy to po zniszczeniach ostatniej wojny, na początku lat osiemdziesiątych, odbudowano Zamek Książąt Głogowskich. Na portierni świeżo utworzonego w nim Muzeum Hutnictwa i Odlewnictwa Metali Kolorowych pełnił dyżur stary portier. Zapadła noc i wszyscy pracownicy dawno już poszli do domu. Księżyc świecił jasno a na dziedzińcu zamkowym widać było cienie jego murów i wieży. Portier drzemał na krześle. W pewnej chwili ocknął się. Właściwie nic konkretnego się nie zdarzyło, ale ogarnął go jakiś nieokreślony niepokój. Coś nienaturalnego wisiało w powietrzu. W pewnej chwili drewniane schody prowadzące na pierwsze piętro zaczęły skrzypieć. Nie było jednak słychać kroków. „Ki diabeł” - pomyślał sobie portier, wychylił się jednak przez okno portierni i zaczął się przyglądać. Raptem coś dziwnego, jakaś biała zjawą pojawiła się w polu widzenia. Bezszelestnie weszła do sieni zamkowej. Zatrzymała się chwilę, rozglądając się dookoła a później zniknęła po prawej stronie, gdzie były sale wystawowe i zejście do piwnic.

Portier stał przez chwilę jak sparaliżowany. Potem ocknął się i z krzykiem wyleciał na dziedziniec. Jak oszalały pobiegł na drugi jego koniec a tam wcisnął się w dziurę utworzoną w pozostawionych przez budowlanych deskach. Rano pracownicy Muzeum odnaleźli go w niej. Ciągłe jeszcze dygotał ze strachu i z zimna. Pracownicy podejrzewali, że może trochę za dużo wypił i usiłowali go przekonać, że uległ złudzeniu. On jednak żadną miarą nie chciał się odtąd zgodzić na pełnienie nocnych dyżurów. Wkrótce potem zwolnił się z

pracy i słuch o nim zaginął. Nikt też już potem nie widział Białej Damy.

Kim jednak mogła być ta dziwna zjawia, która przez stulecia dawała się we znaki kolejnym lokatorom głogowskiego zamku, aby po raz ostatni pojawić się po jego odrestaurowaniu. Nauka na ten temat milczy, ale my nie piszemy przecież historii Głogowa, a powtarzamy po prostu stare opowieści, nie wdając się w to, ile w nich prawdy, a ile fantazji. A niegdyś opowiadano tak:

Dawno, dawno temu w głogowskim zamku mieszkał książę Zygmunt. Pochodził ze starego, litewskiego rodu i był synem króla polskiego Kazimierza Jagiellończyka. Wychowany starannie, z natury dobry i prawy, długo jednak nie mógł uzyskać stanowiska odpowiedniego jego urodzeniu. Do tronu polskiego pretendowali w pierwszej kolejności jego starsi bracia, jeden z nich został królem Czech i Węgier inny biskupem, a on sam długo pozostawał księciem bez księstwa. W końcu ulitował się nad nim starszy brat Władysław, na którego dworze w Budzie Zygmunt przebywał przez kilka lat i uczynił go księciem głogowskim, a później swoim namiestnikiem na całym Śląsku.

Wkrótce potem młody książę przyjechał do Głogowa, a po wyremontowaniu bardzo zniszczonego zamku zamieszkał w nim i pilnie zajął się sprawami powierzonego mu księstwa. A spraw tych było bardzo dużo i bardzo trudnych i pilnych. Na drogach grasowali rozbójnicy i napadali na kupców jadących z towarami. W księstwie kursowały różne monety, które fałszował kto chciał. Szerzyła się lichwa i pomiędzy dłużnikami a wierzycielami trwały ciągłe spory. Brakowało dobrego prawa i sprawiedliwych sądów. Trzeba było włożyć wiele wysiłku i stracić ogromnie dużo czasu aby wszystko to uporządkować i książę Zygmunt zajął się tymi sprawami, za-

wsze bowiem chciał być pożyteczny dla swoich poddanych i dobrze wykonywać swoje obowiązki.

Książę przyjechał nie sam. Przywiózł z sobą wielu młodych i zdolnych ludzi, swoich przyjaciół i towarzyszy, którzy na głogowskim dworze, podobnie jak on sam, uczyli się dobrze rządzić i gospodarować. Przyjechała z nim również młoda i bardzo piękna kobieta - Katarzyna Telniczanka. Nie wiemy kiedy ją Zygmunt poznał, ale zapalał do niej ogromną miłością, tak wielką, że pomimo różnicy stanów (Katarzyna była ubogą morawską szlachcianką) w żaden sposób nie chciał się z nią rozstać. Mieli już troje dzieci, dwie córki i syna i kochali się bardzo. Ich syn Janek, wychowywał się nawet na dworze polskim, były to bowiem jeszcze te dobre czasy, kiedy uczucia dwojga ludzi szanowano, nawet wtedy, kiedy nie były oficjalnie pobłogosławione przez Kościół i uznane przez władze świeckie.

Tak to oboje, Zygmunt i Katarzyna, żyli sobie spokojnie w Głogowie i wydawało by się, że nic im do szczęścia nie brakuje. I pewno na tym by można skończyć i nic więcej nie było by do dodania gdyby nie pewna sprawa, która jak ponury cień kładła się na tych dwojgu ludziach. Tą sprawą była przykra choroba, na którą cierpiał Zygmunt. A chorobą tą były ciężkie i powtarzające się ataki migreny.

W tym miejscu zniecierpliwieni czytelnicy pewno powiedzą: „I cóż to takiego? Ból głowy i nic więcej. Trzeba wziąć aspirynę, albo łyknąć avomigran i po kłopotcie”. Drodzy państwo, tych wszystkich leków wówczas jeszcze nie znano, a migrena to nie tylko ból głowy. Książę najpierw czuł ucisk w skroniach, potem zaczynało mu rozsadać czaszkę. Ból pulsował i natężał się. Obejmował całe ciało. Ścisnął żołądek, który, zdawało się, podchodził do gardła. Z oczu ciekły mu łzy, a w głowie się kręciło. Zygmunt uciekał do swojej komnaty, którą kazał obić na czarno, zaciągał zasłony kładł się na

łożu i obwiązywał sobie głowę chustą ściskając ją z całej siły. I jęczał, bo chwilami już nie mógł wytrzymać bólu. I tak było po kilka dni z rzędu, a potem krótka przerwa i znowu od początku. Ani myśleć, ani z ludźmi rozmawiać, ani decydować. I ciągle strach przed powrotem choroby. Atak wywołać mogło wszystko. Zdenerwowanie, szklanica wychylonego piwa, kieliszek wina. Głośna muzyka i hałas, zapach kwiatów i smród dobiegający ze stajni. Nagłe zdenerwowanie a nawet niespodziewana radość. Zmarnowana połowa życia.

Wszystko to, było by może jeszcze do zniesienia dla zwykłego człowieka. Ale przecież Zygmunt był księciem i to w dodatku coraz większe miał widoki na objęcie tronu polskiego. A Rzeczpospolita wówczas była mocarstwem, jednym z największych w Europie i tron miała elekcyjny. Nie do pomyslenia było aby jej władca miał być człowiekiem tak bardzo niesprawnym, niezdolnym całymi tygodniami do normalnego myślenia i co gorsze do podejmowania racjonalnych decyzji i szybkiego działania. Taki władca był by dla państwa niebezpieczny. Takiego nigdy by na króla nie wybrano.

Księżę więc jak mógł starał się nie ujawniać swoich dolegliwości. Ale jakże takie dolegliwości mogły się ukryć na dworze. Wszyscy przecież widzieli jego poszarzałą z bólu twarz i słyszeli nieskładne wypowiedzi i tę niecierpliwość, którą było widać kiedy słuchał, niejednokrotnie zresztą przydługich, oracji innych. Do tego znikał często i na długo w swoim pokoju, gdzie z dala od hałasu czuł się najlepiej. Księżę gryzł się tym zresztą ogromnie, bo coraz więcej i coraz ważniejszych gości wypadało mu podejmować, a i sam winien wykazywać dużo inicjatywy dla zyskania sobie poparcia możnych panów i braci szlachty w Polsce i życzliwej neutralności, a przynajmniej obojętności zawistnych sąsiadów.

Katarzyna martwiła się nie mniej od Zygmunta. Był dla niej jedyną i najważniejszą istotą na świecie. Starła się

jak mogła chronić go od wszystkiego tego co mogło wywołać ból, ale tak niewiele mogła. Dowiadywała się też pilnie, poprzez zaufanych dworzan, czy nie znalazłby się jakiś lekarz, albo znachor, który mógłby uleczyć księcia. Długo zresztą te starania pozostawały bezskuteczne. Przyprowadzano do niej różnych szarlatanów, stare znachorki i wiedźmy żyjące w lasach, ale ich rady i lekarstwa nie wywoływały żadnych pozytywnych skutków. Jednakże raz pewnego dowiedziała się, że w puszczy koło Żagania mieszka sędziwy pustelnik, sławny w okolicy ze znajomości ziół i różnych dziwnych sposobów, skutecznych w wielu dolegliwościach. Mówiono o nim, że czyni cuda i niejednemu już pomógł w bardzo poważnej chorobie. Katarzyna, korzystając z dłuższej nieobecności księcia, wybrała się do niego w towarzystwie służącej i zaufanego dworzanina. Starzec mieszkał w rozpadającej się chatce na skraju polany. Najpierw długo nie chciał wyjść z domu. Potem patrzył na nią uważnie i przenikliwie, wysłuchiwał nie przerywając jej, trochę nieskładnej opowieści i po długim czasie, kiedy już utraciła nadzieję na uzyskanie jakiegokolwiek rady, powiedział:

- Wierzę córko, że prawdziwa troska o najbardziej kochanego człowieka przywiodła cię do mnie. Mogę ci pomóc. Ale zważ proszę, czy naprawdę tej pomocy pragniesz. Dam ci lekarstwo dla księcia i ból ustąpi, tylko że będzie on już zupełnie innym człowiekiem. Czy tego pragniesz?

- Jakże to, ojczy? Co go odmieni? Kim będzie? Powiedz mi bo nie mogę pojąć.

- Widzisz dziecko książę żyje teraz jak w omamie. W objęciach ciężkiej choroby. Myśli o niej, boi się jej i cały czas jak potrafi chroni się. Chroni się do ciebie, wiedząc że ty jedna go zrozumiesz i przed tobą nie musi ukrywać swoich słabości i cierpienia. Jeżeli ból ustąpi będzie zupełnie odmieniony, będzie go rozpierać energia. Zobaczysz świat jakiego

nigdy nie widział. Pełen barw i blasków. Może zdziałać wiele, zostać królem potężnego państwa, pokonać odwiecznych wrogów i przedłużyć swój ród. Ale może wtedy będzie musiał od ciebie odejść. Czy się na to zgodzisz? Czy potrafisz usunąć się w cień. A może lepiej żeby zostało tak jak jest? Wszak teraz ty jesteś mu najbardziej potrzebna.

- Ojczy, niech będzie co ma być. Ja dla niego jestem gotowa na wszystko, a nie mogę już patrzeć jak się męczy. Daj mi lekarstwo.

- Skoro nalegasz. Ale zważ, że sama tego chciałaś i mnie nie wiń - mruknął pustelnik. Odszedł też zaraz do swojej chatki, a po dłuższej chwili wrócił trzymając sporych rozmiarów tutkę z kory brzoźowej.

- Wsypuj dziecko księciu szczyptę tego proszku do napoju. Każdego dnia do następnej pełni księżyca. Ból księcia ustąpi i nie wróci prędko. Nie bój się, to nie trucizna. Pomoże na pewno. - To mówiąc usypał sobie trochę na dłoń i połknął. Idź z Bogiem.

Katarzyna zabrała lek, podziękowała pięknie i wróciła na zamek. Odtąd przez następny miesiąc codziennie podawała księciu lekarstwo. Początkowo nie było widać żadnego skutku, ale gdzieś po dwóch tygodniach książę jakby odżył. Bóle ustąpiły, zaczęło mu przybywać w sposób widoczny sił. Poweselał i zaczął szukać towarzystwa innych. Rozwinął też szeroką działalność dyplomatyczną. Wyjeżdżał często i na długo. Przyjmował gości i odbywał ożywione narady z coraz większym zespołem doradców, a nie bał się też wychylić pułcharu wina, nie stronił już od ulubionej niegdyś gry w karty, nie unikał muzykantów i śpiewaków. Jednym słowem na zamku głogowskim zaczęto żyć zupełnie inaczej, tak, jak na innych dworach książęcych, może tylko z tą różnicą, że książę lubił otaczać się ludźmi światłymi i uczonymi, prowadzić z

nimi dysputy, a i sam dużo czytał i umysł miał otwarty na wszystkie nowości jak mało który z ówczesnych władców.

Niedługo potem zmarł brat księcia, król Aleksander. Książę Zygmunt pośpiesznie udał się na Litwę, aby objąć należną mu dziedziczną władzę wielkoksiążęcą, a stamtąd już jako Wielki Książę Litewski do Krakowa, gdzie Rada Senatorów, acz z pewnymi oporami i wahaniem, zaznaczając że czyni to ostatni raz i że w przyszłości sama zadecyduje, bez szantażu Litwinów, kto ma zostać władcą Polski, obrała go królem. Otrzymała się uroczysta koronacja i Zygmunt zamieszkał na Wawelu.

A co się stało z Katarzyną Telniczanką? Król Zygmunt zabrał ją z dziećmi do Krakowa i bardzo zadbał o to aby na niczym im nie zbywało. Mieszkała początkowo na Wawelu, a potem w kupionej przez Zygmunta kamienicy na rynku w Krakowie. Ale stało się tak jak przewidział pustelnik. Nadszedł moment, kiedy trzeba było pomyśleć o zapewnieniu ciągłości dynastii, a Katarzyna królową zostać nie mogła. Nie zgodzili by się na to Panowie Rada i dzieci z takiego związku nie mogły by uzyskać uprawnień monarszych. Przed ślubem z Barbarą Zapoly`ówną Zygmunt wydał więc swoją długoletnią metresę za polskiego magnata, dworzanina i przyjaciela Andrzeja Kościelskiego, któremu zresztą jego krewni długo tego związku nie mogli wybaczyć. Żyła jeszcze wiele lat otoczona dostatkiem, obok bowiem wielu nadań królewskich odziedziczyła majątek swojego męża. Jej córki bogato wyszły za mąż. Po śmierci męża osiadła na dworze syna Jana, biskupa wileńskiego. Prowadziła zresztą bardzo światowe życie. Ubierała się modnie, flirtowała i do starości otaczała się młodymi mężczyznami. Czy była szczęśliwa? Tego nikt na pewno nie wie. Ale mówiono, że nie, i że nigdy nie przestała kochać króla Zygmunta. Cieszyła się w Polsce znaczną popularnością, ale przez ludzi związanych z dworem nie była lubiana. Nazy-

wano ją jędrą i czarownicą. Opowiadano, że ma upodobanie w plotkach i niecnym intrygach a nade wszystko lubi zbierać dziwne zioła i warzyć z nich różne mikstury, podobno służące do utrwalenia urody. Kto jednak to wie może i otruć nimi można? Kiedy umarła nikt po niej nie płakał.

Król Zygmunt żył jeszcze długo, zbudował na Wawelu nowy zamek, doczekał się też za życia koronacji swojego syna Zygmunta Augusta na króla Polski i w związku z tym otrzymał przydomek Stary. Mówiono jednak, że po śmierci jego ukochanej żony, królowej Barbary, wróciły mu dawne uporczywe migreny i że to właśnie było przyczyną, iż tak trudno było uzyskać u niego jakąkolwiek decyzję. Czy jednak tak było naprawdę? Królowie bardzo starannie ukrywali wówczas swoje dolegliwości i w oczach poddanych zawsze chcieli uchodzić za ludzi zdrowych, silnych i pełnych energii.

A nocą po komnatach głogowskiego zamku snuła się biała dama. Nikomu nie czyniła krzywdy. Opowiadano, że wraca tam, gdzie w życiu była najbardziej szczęśliwa. I zastanawiająca rzecz. Ponoć najczęściej widziano ją jak przechodziła z komnat mieszkalnych na pierwszym piętrze do piwnicy, gdzie niegdyś mieściły się zamkowe kuchnie. Czyżby chciała przedłużyć o wieczność drogę, którą przynosiła księciu Zygmuntowi napój z dosypanym lekarstwem? Ale teraz chyba już jej nie zobaczymy. Ten zamek nie bardzo jest przecież podobny do dawnej rezydencji księcia, tyle razy już był niszczony i odbudowywany. Gdybyśmy jednak w jasną księżycową noc ujrzeli kiedyś białą zjawę, pozwólmy jej przejść spokojnie. Przecież każdy z nas ma prawo powrócić tam, chociażby w myślach lub wspomnieniach, gdzie czuł się kiedyś bardzo szczęśliwy.

Opowiesci starego garnka

Stoję teraz w muzealnej gablocie i podziwiam mnie zwiedzający. Nie powiem. Nawet mi się to podoba. Czuję się ważny i potrzebny, ale to już nie to co niegdyś. Jestem przecież garnkiem i powinienem służyć do gotowania. Czasem jest mi więc żal, ale tłumaczę sobie, że jestem po prostu garnkiem na emeryturze i nadaję się tylko do oglądania. A jednak szkoda, że nikt nie interesuje się tym co mam do powiedzenia. Przecież ja tyle widziałem i słyszałem w swoim długim życiu. Jeżeli więc macie chwilę czasu to może posłuchacie mojej opowieści:

Bardzo dawno temu, kiedy jeszcze nie było tego muzeum i tego miasta zrobił mnie z gliny stary garncarz i pięknie ozdobił wyrytym na mojej skorupie ornamentem. Musiałem się podobać bo kupiła mnie młoda gospodyni. Nazywała się Agata i była żoną dowódcy wojowników w wielkim grodzie Głogowie. Mieszkalem w ich domu położonym wewnątrz wałów grodu. Nie był to duży dom. Drewniany i niezgrabny, wcale nie podobny do tego pięknego muzeum. Właściwie to składał się tylko z jednej izby i sieni. Nie miał również okien i trochę światła dostawało się do niego otworem w dachu przez który uchodził dym. W kącie izby było palenisko, a nad nim, na żelaznym trójnogu zawieszała mnie gospodyni. W kącie izby było wielkie posłanie, a przy ścianach drewniane ławy. Początkowo służyłem do gotowania mleka, a później Agata stwierdziła, że mam grube dno i można we mnie gotować kaszę, bo się nie przypala. Bardzo to lubilem, a szczególnie te chwile kiedy cała rodzina zasiadała nad miską kaszy smakowicie przyprawioną skwarkami ze smażonego boczku. Czuję, że i wam ślinka cieknie. Muszę też

powiedzieć, że oprócz Agaty i jej męża Mściwoja w chacie mieszkało jeszcze czworo ich dzieci: dwie córki i dwóch synów. No i trochę różnych zwierząt gospodarskich oraz pies i dwa koty. Bardzo tam było wesoło. Tyle krzyku i wrzawy. Figlowali i hałasowali przez cały dzień. Zawsze się bałem, że mnie rozbiją, tak bardzo dokazywali, ale Agata nie dała mi zrobić krzywdy. Byłem przecież ogromnie potrzebny.

Tak żyliśmy spokojnie i szczęśliwie w starym grodzie. Nasłuchałem się też różnych opowieści, a najbardziej lubiłem słuchać, jak stary Mściwoj opowiadał swoim synom o słynnej obronie Głogowa przed wojskami cesarza Henryka. Nie często się to zdarzało bo Mściwoj nie był rozmowny, można nawet powiedzieć, że się rzadko odzywał. Ale czasami, w niedzielne wieczory, kiedy obszedł już wały grodu i sprawdził rozstawione straże, zasiadał przy ogniu z garncem grzanego piwa w rękę i wtedy zaczynał swoją opowieść, którą obaj jego synowie słuchali z otwartymi ustami. Był jeszcze małym chłopcem, kiedy oddziały niemieckie obległy gród. Kasztelan Wojsław zawarł wówczas z cesarzem Henrykiem układ na podstawie którego ten zgodził się na rozejm i na to, żeby Polacy wysłali posłów do księcia Bolesława z zapytaniem, czy mają się poddać, czy też bronić. Cesarz zażądał jednak zakładników jako gwarancji, że w czasie rozejmu Polacy nie zaatakują nagle jego wojsk i Wojsław na to przystał. Wysłał też w charakterze zakładników swojego syna i dzieci kilku innych znaczniejszych grodzian, a w tej liczbie również Mściwoja, który jeszcze był małym chłopcem. Książę Bolesław zabronił jednak poddania grodu, a cesarz wbrew umowie nie zwrócił zakładników, tylko kazał ich przywiązać do machin oblężniczych w przekonaniu, że grodzianie nie będą strzelać do własnych synów i poddadzą gród. Mściwoj opowiadał jak zła pało go dwóch krzepkich pachołków, którzy mocnymi sznurami przywiązali go za ręce i nogi do belek wieży oblężniczej. Ogromnie się bał. Nie chciał umierać. Na dworze świeciło

słonko a życie wydawało mu się takie piękne. Ukryci za wieżą rycerze powoli przysuwali ją do wałów grodu. Mściwoj widział z góry jak grodzianie szykują się do obrony. Zaczęły świstać strzały wypuszczane z łuków. Kamienie wyrzucane z machin spadały na obrońców, a w odwecie Polacy staczali z wałów wielkie kłody drewna, lali wrzącą wodę i roztopioną smołę. Wojownicy niemieccy pięli się po przystawionych drabinach na wały, a obrońcy długimi dragami próbowali ich odrzucić i połamać drabiny. W pewnej chwili strzała wypuszczona przez jednego z Polaków ugodziła go w prawy bok. Mściwoj poczuł piekący ból i zemdlał. Kiedy się ocknął był już we własnym domu, a jego matka opatrywała mu ranę i pochylała się nad nim z płaczem. Ojciec opowiadał mu później, że obrońców, kiedy zobaczyli własne dzieci przywiązane do wież obleźniczych, ogarnęła straszna złość. Nie bacząc na ogromne niebezpieczeństwo wypadli zza wałów i odbili tych zakładników, którzy jeszcze żyli, a wieże spalili. Podobno Niemcy byli tak zaskoczeni tym szaleńczym wypadem, że uciekli z pola walki i dopiero następnego dnia przypuścili kolejny szturm. Ponawiali go jeszcze wielokrotnie w następnych dniach, ale bezskutecznie. Głogowa nie zdobyli. Zrozumieli, że obrońcy nie oddadzą grodu łatwo i stracili serce do walki. Co innego gdyby można bezpiecznie zabijać, gwałcić i rabować, ale ginąć w tym strasznym, obcym kraju tylko dla dogodzenia ambicji młodego cesarza Henryka nie chcieli. Odstąpili więc od grodu i poszli dalej.

Tak opowiadał swoim synom stary Mściwoj w długie zimowe wieczory, kiedy na dworze był mroźny wicher, a my grzaliśmy się przy palenisku. Mówił im jeszcze inne ciekawe rzeczy, o dawnych czasach, o księciu Bolesławie, zwanym Krzywoustym, który przez wiele lat władał Polską, a którego wszyscy się bali, ale go słuchali bo był mężny w boju i potrafił zapewnić bezpieczeństwo swoim poddanym. O tym, że po jego śmierci zapanowały gorsze czasy, bo kraj został podzielo-

ny pomiędzy jego synów, a oni nie mogli się ze sobą zgodzić i najstarszego z braci - Władysława, tego który był seniorem a władał też Głogowem i całym Śląskiem, wygnali z Polski i zmusili do tułania się wraz z żoną Agnieszką i dziećmi po obcych i wrogich im krajach cesarza Konrada, od którego bezskutecznie domagali się pomocy w odzyskaniu ojcowizny. W Głogowie żyło się jednak spokojnie i bezpiecznie. Nikt nie niepokoił mieszkańców grodu, a i oni sami wierzyli, że wysokie wały, fosa, szeroko rozlana rzeka Odra i otaczające ich bagna zawsze i przed każdym napastnikiem będą ich w stanie obronić.

Tak jednak już jest na tym świecie, że żaden stan, nawet ten najlepszy i najprzyjemniejszy nie trwa wiecznie, a po okresie spokoju zwykle następuje wojna tym gwałtowniejsza i okrutniejsza czym dłużej trwał pokój. Tak też stało się i tym razem. Początkowo nic nie zwiastowało niebezpieczeństwa. Doszły wprowadzie do Głogowian wieści o śmierci cesarza Konrada i objęciu tronu przez Fryderyka, zwanego Rudobrodym, ale nie przywiązywano do nich większej wagi. Cesarz był przecież tak daleko. Dzielila go od nich nieprzebyta puszcza i wielkie, a zdradliwe moczary. Czegóż on zresztą mógł szukać w głogowskim grodzie, gdzie nie było ani wielkich skarbów, ani cennego oręża. Jedynie ludzie bitni i pracowici...

Nawet więc kiedy wędrowni żebracy zaczynali mówić o tym, że nad niemiecką granicą gromadzą się w wielkiej liczbie zakuci w żelazo rycerze, a sam cesarz wraz z księciem Władysławem lada dzień do nich przybędzie, nie niepokoiono się zbytnio. Ostatecznie Władysław był ich przyrodzonym panem, którego znali i przecież nie pozwoli uczynić krzywdy swoim poddanym. Nadal więc gród był spokojny, jedynie Mściwoj chodził zatroskany i kłął pod nosem. Całe też dnie spędzał na wałach narzekając, że czas i deszcze poczyniły w

nich liczne wyrwy, że nie są dostatecznie opatrzone i zdało by się wiele w nich naprawić. Ale roboty szły ospale, ludzie nie przykładali się do nich, wymigiwali się innymi zajęciami. Nie chcieli wozić ziemi, drewna i układać kamieni. Nie można było zmusić młodzieży do ćwiczeń w strzelaniu z łuków i robieniu mieczem. Mściwoj był coraz bardziej niespokojny bo i u kasztelana nie znajdował zrozumienia - ten bardziej się interesował młodą żoną niż obroną grodu. W domu też nie układało się najlepiej. Obaj synowie Mściwoja, którzy wyrosli nad miarę swoich kilkunastu lat, gwałtem domagali się od ojca aby ich przyjął do drużyny. W końcu on sam widząc, że nie utrzyma ich w domu i bojąc się, że mu po prostu uciekną, zaczął zabierać ich z sobą. Agata strasznie krzyczała i rozpaczała, że jej dzieci wywiedzie na zatracenie i nie chciała słuchać Mściwoja, kiedy jej tłumaczył, że tak przynajmniej ma na nich oko i w razie czego może zdoła uchronić od najgorszego niebezpieczeństwa. W spokojnym i cichym domu zaczynało być coraz gorzej. Jego mieszkańcy stali się opryskliwi i niechętni sobie. Ale stopniowo wszystko się uspokoiło. Niemcy jakoś nie nadchodzili, a życie biegło nadal swoim torem.

Nagle jednak nastąpiło to czego tak bardzo bała się gospodyni. Kiedyś o świcie posłyszałem straszne krzyki i łoskot. Mściwoj i jego synowie wypadli z chaty ledwo zdążywszy chwycić za broń. Agata przygarnęła córki do siebie i schowała się w najbardziej ciemnym kącie. Potem był jeszcze większy łoskot i jeszcze straszniejszy krzyk. Słyszać było tętent koni, biegnących ludzi, szczęk oręża, krzyki i jęki mordowanych. Raptem wyważono drzwi i do domu wpadło kilku napastników. Jeden z nich uderzył Agatę mieczem w głowę. Co zrobili jej córkom o tym nawet wolę nie mówić, a potem również je zabili. Zanim wypadli z chaty porwali płonące szczapy z paleniska i rzucili je na posłanie. Wszystko ogarnęły płomienie. Na mnie zaczął sypać się popiół. Potem już nic nie

widziałem, bo już coraz większa warstwa popiołu, nadpalonych belek i ziemi mnie przykrywała.

Przeleżałem w głębi ziemi bardzo wiele lat. Widocznie tego miejsca nie odbudowywano, może uczyniono na nim śmietnisko, bo nikt mnie nie wydobył na powierzchnię. Gdzieś na górze ludzie rodzili się i umierali, toczyły się wojny, bez których oni nigdy nie potrafili się obejść, a ja sobie leżałem w ziemi. Pogrzebacz, który leżał obok mnie strasznie się martwił, płakał i w końcu od łez zjadła go rdza. To samo się stało z porzuconym nożem jednego z napastników. Ja jednak byłem spokojny. Mogłem przecież czekać. Skoro wypalony zostałem z gliny tak długo dopóki byłem cały nic mi nie mogło grozić.

I doczekałem się. Pewnego razu posłyszałem nad sobą jakieś odgłosy. Ktoś powoli i ostrożnie rozgrzebał ziemię i wydobył mnie na powierzchnię. Jakiś brodaty mężczyzna w śmiesznym stroju (potem dowiedziałem się, że był archeologiem), ostrożnie omiół mnie miotelką i obejrzał ze wszystkich stron. Potem powiedział coś, co mnie bardzo zabolало. Aż wstyd powtórzyć. Powiedział że może jestem unie... unietycki. Coś podobnego? Jak można mnie tak obrażać. Ja jestem porządnym garnkiem do gotowania kaszy, a nie unie... Nawet wymówić nie podobna. Gdyby to posłyszała Agata to już ten łobuz miałby się z pyszna. Ani chybi dostałby kijem po głowie.

Teraz stoję sobie spokojnie w pięknej gablocie i służę do oglądania. Trochę się nudzę, bo niby z kim mam rozmawiać. Z tymi skorupami co leżą koło mnie? Przecież porządkiem garnkowi nie wypada zadawać się z takimi odpadkami ze śmietnika. Ale się nie martwię. Ja dobrze wiem, że ci głupi ludzie długo tak nie wytrzymają. Znowu coś ich napadnie, zaczną się zabijać i niszczyć to co sami w ogromnym trudzie zbudowali. A ja sobie na to wszystko popatrzę. Byłe by mnie

nie potłukli to może kiedyś znowu znajdę się w jakiejś chacie i gospodyni będzie we mnie gotować kaszę. To właśnie lubiłem najbardziej.

Bardzo smutna historia

Działo się to w okresie wojny trzydziestoletniej, która w latach 1618 - 1648 ogarnęła znaczną część Europy. Były to czasy okrutne i krwawe. Linie frontu przebiegały wówczas nie tylko pomiędzy państwami, ludami i narodami, ale nawet wewnątrz rodzin. Szał ogarnął ludzi. Protestanci i katolicy mordowali się wzajemnie w imię tego samego Boga, który niegdyś głosił miłość i obiecywał przynieść ludziom pokój. Najbardziej, jak zwykle, cierpieli spokojni mieszkańcy miast i wsi. Zdani na łaskę przeciagających tam i z powrotem wrogich armii, rabujących i wymuszających okup, mordujących i gwałcących żołnierzy, mogli jedynie rzucić wszystko i uciekać, wystawiając się na nędzę i poniewierkę, albo zostać i z pokorą oczekiwać co im przyniesie los. Pierwsze z tych rozwiązań wybierali ludzie młodzi i przedsiębiorczy, drugie - pozostali, a tych było zawsze znacznie więcej.

W Głogowie działo się podobnie. Trudno dzisiaj wyliczyć czyje wojska zajmowały miasto, jacy żołnierze pastwili się nad mieszkańcami, kto żądał kontrybucji i żywności, kto tylko kradł i rabował. Sąsiedzi patrzyli na siebie wrogo. Nienawiść zapanowała we wszystkich sercach. Rodzeni bracia zapominali więzi rodzinnych i gotowi byli mordować się wzajemnie w imię Chrystusa. Czasem zresztą wydawało się, że wiara jest tylko pretekstem, a chodziło po prostu o to aby wyładować wrodzoną ludziom skłonność do okrucieństwa i przemocy. Jeżeli ktoś zachował w głębi serca uczucia litości i sprawiedliwości musiał je głęboko ukrywać. W przeciwnym wypadku uznawano go za istotę słabą i nieporadną. A nad takimi nie było zmiłowania.

W tamtych czasach starostą królewskim na głogowskim zamku był Hans. Może zresztą nazywał się Arnold albo Wilhelm. Dzisiaj to już nie jest ważne, bo w naszej opowieści zajmuje on jedynie podrzędne miejsce. Bohaterem naszego opowiadania będzie przecież nie wielki pan i namiestnik królewski, a ubogi szewc Baltazar i jego córka - Anna. Właściwie to Baltazar nie był taki zupełnie ubogi. Miał dobrze prosperujący zakład na ulicy Śłodowniczej i kram z obuwem na Rynku. Był też właścicielem domu, w którym znajdował się jego zakład. Był także znanym i szanowanym obywatelem. Tak było jednak tylko na początku wojny. Potem zaczęły go prześladować rozliczne nieszczęścia. Podczas oblężenia miasta jego dom został spalony i musiał wynająć izdebkę u jednego z sąsiadów. W mieście mieszało już coraz mniej ludzi, byli oni coraz ubożsi i zapotrzebowanie na buty było coraz mniejsze, a żołnierze, nawet jeżeli je zamawiali, to poważnie nie płacili, dobrze jeszcze jeżeli przy okazji nie poturbowali biednego rzemieślnika. Z czterech czeladników i kilku uczniów został mu jeden, młody chłopak imieniem Piotr, ale i on nie miał wiele do roboty. Nie odchodził jednak, chociaż wydawało się, że już dawno powinien był to uczynić. Tym magnesem, który go trzymał jak na uwieży była Anna.

Anna, córka Baltazara była bardzo piękna. Miała zaledwie czternaście lat, ale w tamtych czasach był to już wiek w którym dziewczyny wydawano za mąż. Jej matka zmarła podczas ostatniej epidemii i Anna prowadziła ojcu gospodarstwo. Baltazar bardzo ją kochał. Była wszystkim co mu pozostało i stała się jedynym celem i sensem jego życia. Bywało, przerwie robotę i zapatrzy się w krzątającą się przy naczyniach córkę, albo słucha śpiewanej przez nią piosenki. Chronił ją też jak potrafił w tych niespokojnych czasach przed różnymi niebezpieczeństwami grożącymi na każdym kroku i ze wszystkich stron. Przywykł zresztą do tego, że wśród otaczających go sąsiadów wielu okazywało mu niechęć, a niektórzy

wręcz odnosili się do niego z nienawiścią. Nie dlatego żeby był złym człowiekiem albo uczynił komuś krzywdę. Był po prostu spokojnym, pracowitym rzemieślnikiem. Nie wynikało to również z zawiści, bo nie był już przecież człowiekiem zamożnym. Po prostu był protestantem. Nawet nie specjalnie gorliwym, ale tak go wychowano, a on wierzył tak jak jego ojciec. Najbliższych sąsiadów natomiast miał katolików, też zresztą nie przesadnie religijnych. Ale był inny od nich i to już wystarczyło do wywołania niechęci. Wzmogła się ona jeszcze kiedy miejscowi protestanci siłą odebrali katolikom kościół parafialny św. Mikołaja twierdząc, że wybudowali go ich ojcowie i mają prawo się w nim modlić. Wprawdzie Baltazar nie brał w tym udziału, ale przecież co niedzielę chodził tam z córką na nabożeństwa odprowadzane przez pastora, słuchał jego nauk i wraz z innymi śpiewał psalmy.

Tymczasem wojna dawała się coraz bardziej we znaki mieszkańcom miasta. Pewnego dnia szczęście wojenne odwróciło się i Głogów został zajęty przez wojska cesarskie pod wodzą Wallensteina. Zaczęło się plądrowanie. Pijani żołdacy rozbiegli się po mieście szukając łupów, ale to nie było jeszcze najgorsze. Baltazar ukrył córkę w kącie za szafą, a żołnierze, widząc ubogą izdebkę rzemieślnika szybko szli gdzie indziej, szukali przecież ludzi zamożnych i domów bogatych, gdzie można się było łatwo obłowić. Potem trochę się uspokoiło, ale nie na długo. Rada miejska odebrała protestantom kościół św. Mikołaja, zlikwidowała im szkołę, a nauczyciela i pastora wypędziła z miasta. Starosta królewski otrzymał surowy nakaz od cesarza, aby wreszcie zrobił porządek z protestantami, którzy nie dość, że Bogu bluźnią, to jeszcze ośmielają się kwestionować najwyższe, cesarskie rozporządzenia. Starosta sam nie był zbyt gorliwym katolikiem, a po cichu chętnie nawet czytał pisma zawierające „nowinki” religijne, ale cesarza się bał, a bardziej jeszcze księcia Wallensteina, o którym mówiono, że lepiej mu się nie narażać. Kazał

więc wezwać na zamek rajców miejskich i kiedy się stawili tak do nich przemówił.

- Najjaśniejszy Pan nakazał aby wszyscy protestanci natychmiast porzucili fałszywe nauki i nawrócili się na prawdziwą wiarę. Jestem pewien, że wśród was nie ma takich niecznych zaprzańców. Musicie więc natychmiast pouczyć innych, że upierając się przy swoich błędach nie tylko narażają się na męki piekielne, ale już dzisiaj, na utratę łaski cesarskiej.

Rajcowie, którzy rzeczywiście byli katolikami popatrzyli na siebie niepewnie. Z jednej strony podobało się im to co mówił starosta, ale przecież losy wojny są niepewne. Jutro mogą tu przyjść wojska szwedzkie, albo ich sprzymierzeńcy i co wtedy? Trzeba będzie uciekać za polską granicę i na niepewny los się zdać. W końcu jeden z nich, pisarz miejski Szmit, najbardziej świątły i mowny, powiedział:

- Ogromnie wdzięczni jesteście Najjaśniejszemu Panu, że raczył pomyśleć o swoich poddanych, wyznających prawdziwą wiarę, a tak srodze uciskanych przez tych podłych odstępców. Ale, Panie hrabio, rozmnożyli się już oni jak psy, a nas jest mało i sił nie mamy. Zdało by się pomoc obmyślić bo my sami nie poradzimy.

- Co więc radzicie uczynić?

- A może, dostojny Panie, skorzystać z pomocy żołnierzy. W mieście mówią, że generał Lichtenstein ma u nas kwaterować na zimę. Może żołnierzom wyznaczyć kwatery u tych plugawców a oni ich szybko nawrócą na prawdziwą wiarę - mówił pisarz ze złośliwym uśmiechem.

Radnym ogromnie się spodobał pomysł pisarza. Wszak w ten sposób można było za jednym zamachem upiec dwie pieczenie. Z jednej strony odwrócić od siebie kłopoty i ciężary kwaterunku, a z drugiej dokuczyć tym obrzydliwym protestantom, którzy tak im dopieklili wdzierając się do

kościół parafialny. Spodobało się to także staroście. Taki plan był możliwy do zrealizowania i nie wymagał wielkiego wysiłku, a w dodatku w razie czego wszystko można było zwalić na wojsko, na samowolę i rozpasanie żołnierzy. Zaraz więc podyktował list do swojego przyjaciela Lichtensteina i wysłał umyślnego. Wkrótce potem dragoni cesarscy przybyli do księstwa i zajęli kwatery w podgłogowskich wsiach. Pewnej nocy, korzystając z tego, że w bramach miejskich stały stráže składające się z samych katolików (o to już zadbali rajcy miejscy), żołnierze weszli do miasta i zatrzymali się koło zamku. Rano herold miejski głośno bębniąc obchodził ulice Głogowa i wzywał wszystkich mieszkańców do stawienia się na rynku. Kiedy się już zgromadzili w oknie ratusza ukazał się sam starosta i wygłosił następujące przemówienie:

- Najjaśniejszy Pan, Cesarz, (tu długo wyliczał jego tytuły) w swojej nieograniczonej łaskawości raczył zatroszczyć się o was niegodnych, a w szczególności o to, abyście po jak najdłuższym życiu zasłużyli na zbawienie wieczne i znaleźli się w niebie. Nakazał, aby wszyscy mieszcianie sławnego miasta Głogowa nie omieszkając porzucili ohydne błędy szerzone przez zwolenników Lutra i innych niecnym plugawców i natychmiast przyjęli jedynie prawdziwą wiarę rzymskiego Kościoła. Kto zatem wyznaje prawdziwą wiarę i publicznie gotów jest to potwierdzić, niech przejdzie na prawą stronę rynku. Ci zaś, których zatwardziałość serca nie pozwala na przyznanie się do swoich błędów niech pozostaną po lewej stronie.

Na rynku rozpoczęło się zamieszanie. Jedni przechodzili na prawo inni na lewo. Zapanował gwar. Niekiedy dochodziło do prawdziwych tragedii, kiedy okazywało się, że członkowie tej samej rodziny musieli się rozdzielić. Trwały spory i waśnie. Rozlegały się błagania i nawoływania. Po chwili jednak podział został dokonany i okazało się, że obie

grupy są sobie prawie równe. Wówczas starosta odezwał się ponownie:

- Do was się zwracam prawowierni katolicy i pragnę was zapewnić, że łaska Najjaśniejszego Pana pozostanie z wami. Możecie wracać do domów spokojnie, pewni, że włos wam z głowy nie spadnie. A wy, nieszczęśnicy, w ohydnych błędach żyjący macie jeszcze ostatnią szansę aby je porzucić i wrócić do wiary waszych ojców. Ostrzegam was, że gniew cesarza jest straszny. Kto więc zgadza się przyznać do błędów i odbyć pokutę, niech jeszcze przejdzie na prawą stronę.

Tłum zamarł, znieruchomiał, ale nie ruszył się nikt.

- Widzę, że szatan zamącił wasze umysły. Skoro ja was nie potrafię przekonać, muszą to uczynić żołnierze. Wyznaczam więc na kwaterę do każdej protestanckiej rodziny pięciu żołnierzy. Macie im dawać jeść i pić i usłużyć we wszystkim czego zapragną. I będą kwaterować tak długo dopóki nie przyniesiecie od wielbnego proboszcza zaświadczenia o odbytej spowiedzi i powrocie do prawdziwej wiary. Pamiętajcie, że to jest dla waszego dobra. Kto dobrowolnie nie słucha słów prawdy tego trzeba przekonać batem.

Do wieczora pachołcy miejscy sprawnie rozprowadzili żołnierzy po kwaterach. Zgodnie z obietnicą starosty w każdej protestanckiej rodzinie zakwaterowano ich pięciu, ale izdebka Baltazara było bardzo ciasna i jeden z żołnierzy szybko przeniósł się do jego sąsiada. Zostało więc czterech...

Co było dalej? W tym miejscu ogromnie nam trudno snuć dalszą opowieść. Żołnierze, którym wieloletnia wojna odebrała wszelkie ludzkie uczucia, którzy żyli bieżącą chwilą, nawykli do okrucieństwa i zadawania śmierci, obdarci, głodni i spragnieni gorzałki i kobiet, którym w dodatku powiedziano, że mogą sobie pozwolić na wszystko i że czynią to w słusznej sprawie walcząc o prawdziwą wiarę, rozpoczęli prawdziwe or-

gie. Czy można, czy należy to opisać? Chociaż, widzimy to przecież stale, od rana do wieczora w telewizji. Wszystko. Gwałty i morderstwa, pastwienie się nad bezbronnymi. Przemoc i okrucieństwo. Tak, ale w telewizji przedstawiają to aktorzy, którzy nie robią sobie krzywdy, a za chwilę wstaną i razem pójdą na obiad. A wtedy, w Głogowie wszystko to działo się naprawdę. Opowiem więc o tym w skrócie zostawiając resztę wyrobionej wyobraźni czytelników.

Żołnierze wpadli do Baltazara z rykiem i wrzaskiem. Jeden z nich kopnął Piotra i wyrzucił go za drzwi. Dwóch innych złapało Baltazara za gardło, przystawili mu do piersi sztylet i żądali jedzenia, pieniędzy i wódki. Któryś wyciągnął z kąta Annę, rozdzierając jej sukienkę aż do dołu. Śmiał się i rechotał oblesnie. Potem jedli, pili i ryczeli sprośne pieśni. Piotr wyrzucony za drzwi słyszał to wszystko. Kiedy jednak rozległy się krzyki dziewczyny nie mógł wytrzymać i jak obłąkany rzucił się na drzwi. Nic z tego. Solidne, dębowe wrota były zamknięte. Nie puściły. Trzeba by je chyba rozwalić toporem. Pijani żołnierze, którzy kolejno rzucali się na dziewczynę nawet nie słyszeli jego łomotu. Trwało to długo, bardzo długo. Potem zapadła cisza. Wyczerpani żołnierze spali. Anna, naga i skrwawiona, leżała w kącie nieprzytomna, jak porzucona ścierka. Baltazar wisiał przewieszony przez warsztat, a z głębokiej rany wyciekała mu krew, razem z życiem.

Piotr odszedł, zataczając się na nogach. Był błydy i dyszał ciężko. Rano, korzystając z zamieszania przy bramie, wszedł razem z pachółkami dostarczającymi siano, na dziedziniec zamkowy. Udawał że pomaga wyładowywać różne towary. Kiedy na dziedzińcu ukazał się starosta rzucił się na niego z nożem. Z całej siły uderzył go w pierś sztyletem. Niestety, nie przewidział jednego. Sztylet ugodził w stalowy ryngraf, który starosta zawsze nosił na piersi, ześlizgnął się z niego i

niegroźnie go zranił. Piotr pochwycili pachołkowie i znalazł się w lochu. Nie na długo. Następnego dnia, w godzinach przedpołudniowych odbył się sąd. Ponieważ wina była oczywista próbowano jedynie torturami wymusić na nim informacje, kto go namówił do tego czynu. Piotr jednak uparcie milczał. W końcu skazano go na umieszczenie na sześć tygodni w celi głodowej. Była to nisza w murze wieży zamkowej, w której skazańca zamuroywano. Powietrza starczało w niej najwyżej na trzy godziny...

Głogowscy protestanci zostali nawróceni, a ci którzy nie mogli znieść prześladowania uciekli przez polską granicę do Leszna. Nie na długo zresztą. Losy wojny były zmienne. Wrócili i odegrali się na katolikach, w niejednym wypadku nawet bardziej okrutnie i bezwzględnie. Takie to bowiem były ponure czasy. Starzy ludzie opowiadali jeszcze, że w słotne jesienne wieczory na rozciągających się za kolegiatą moczarach słychać było szczekanie kości i brzęk łańcuchów, a czasem widziano także jakiś blady ogień przesuwający się wśród trzciny i że to duch Piotra błąka się tam szukając pomsty za krzywdę której doznał za życia, a może jedynie szuka tam swojej dziewczyny. Ale to już są tylko bajania starych ludzi, bo tak naprawdę to nikt nigdy nie był w stanie tego udowodnić.

Tak się kończy ta bardzo smutna opowieść. Opowiedzieliśmy ją z trudem i z ogromnymi oporami. Przypuszczalnie również, że nie sprawi ona przyjemności czytelnikom. Ale może nasunie nas dzisiaj chociaż myśl, że musimy zrobić wszystko, żeby czasy nietolerancji, wojny i okrucieństwa nigdy już do nas nie wróciły.

O księciu, który lubił piwo

Na dworze księcia Konrada zapanowała ogromna radość. Księżna Pani powiła syna, dziedzica księstwa glogowskiego. Książę chodził szczęśliwy i co chwilę spełniał toasty z coraz to innymi, przybywającymi na zamek, gośćmi. Właściwie była to jedna wielka uczta. Każdy, kto w tę szczęśliwą chwilę prosił o coś księcia - otrzymywał czego pragnął. Wielu to wykorzystywało, ale tak naprawdę to cieszyli się wszyscy. Urodził się następca księcia Konrada, a to znaczyło, że będzie panował pokój, uniknie się walk chciwych sąsiadów o panowanie nad ziemią glogowską, że księstwo, które dopiero niedawno powstało, ma przed sobą przyszłość i poddani nie będą musieli szukać innego pana. A to było ogromnie ważne i dla mieszczan i dla rolników, a nawet dla rycerzy i duchowieństwa. Nikt przecież nie chciał umierać w bezsensownych walkach o władzę, a każdy korzystać z dóstatków tej żyznej ziemi.

Małemu księciu nadano imię Konrad. Jakżeby inaczej. Przecież pierworodny powinien otrzymać imię ojca. A kiedy w rok później przyszedł na świat Henryk, a w jakiś czas potem Przemysław, mieszkańcy księstwa byli już zupełnie spokojni. Władcy na pewno już im nie zabraknie i nie trzeba będzie szukać innych panów. Oby tylko dobry Bóg chronił małych książąt przed jakimymś nieszczęściem, chorobą, albo morowym powietrzem. Bo przed sąsiadami książę Konrad potrafi się sam obronić.

Mijały lata i młodzi książęta wyrosli już z wieku niemowlęcego. Matka opiekowała się nimi troskliwie, a książę Konrad, kiedy nadszedł odpowiedni czas, zatroszczył się o od-

powiednie ich wykształcenie. Sam przecież był człowiekiem światłym, w młodości spędził nawet kilka lat na studiach w Paryżu i zdawał sobie sprawę jak wiele znaczy dla panującego to, że sam, bez pośrednictwa sekretarzy, potrafi przeczytać przysłane mu pismo i zrozumieć jego treść, a nawet, gdyby sytuacja tego wymagała odpisać na nie, a także samodzielnie pojąć o czym prawią posłowie innych władców w długich łacińskich oracjach. Postarał się więc dla swoich synów o nauczycieli, a nie było to trudne, bo szkoła kolegiacka na Ostrowie Tumskim słynęła z wysokiego poziomu nauczania. Wprawdzie trzeba było ominąć liczne przeszkody, ksiązę Konrad bowiem przez długi okres był wyklęty przez Kościół (chodziło jak zwykle o pieniądze), ale kanonicy gotowi byli przymknąć na to oczy, bo i dla nich było ważnym uzyskanie wpływu na młodych książąt, przyszłych władców tej ziemi. Lekcje więc odbywały się nie na zamku, a w domu jednego z kanoników i po prostu nikt tej sprawy publicznie nie poruszał.

Ale nie wszystko toczyło się tak dobrze jak by tego pragnęli oboje księstwo. Ksiązę Konrad może mniej w te sprawy wnikał, rzadko bowiem był w domu, częściej przebywał w licznych rozjazdach, bądź to przygotowując i odbywając liczne wyprawy wojenne, bądź też doglądając swoich posiadłości. Przez długie okresy gościł również na dworze króla Przemysła Ottokara II z którym był zaprzyjaźniony. Ale księżna Salome widziała synów codziennie i bardzo się o nich martwiła. Szczególnie o najstarszego z nich, Konrada. Od urodzenia był wątły i chorowity. Potem wprawdzie jego zdrowie nieco się polepszyło, ale rósł jakoś dziwnie. Jedno ramię miał opuszczone niżej, plecy mocno wygięte a głowa wydawała się wyraść bezpośrednio z tułowia. Księżna długo nie chciała do siebie dopuścić tej myśli, ale w końcu musiała się z nią pogodzić. Konrad był garbaty. Gdyby jednak tylko to. Również jego charakter był jakiś dziwny. Nie chciał się uczyć ani zajmować niczym poważnym. Kanonik Janko coraz częściej

skarżył się na to, że Konrad nie uważa na lekcjach i nie słucha jego napomnień. Najchętniej też przebywał w czeladnej słuchając opowieści pacholków. Wcześniej też nabrał upodobania do picia piwa i gry w kości. A kiedy na zamek przybywali rybałci, czy też inni komedianci młodego księcia po prostu nie można było od nich oderwać.

Po pewnym czasie również i książę Konrad zauważył, że z jego synem dzieje się coś niedobrego długo jednak nie mógł się zdobyć na to aby porozmawiać o tym z żoną. Pewnej nocy jednak, kiedy oboje księstwo leżeli w łóżnicy, jakoś długo nie mogli zasnąć. Oboje obracali się niespokojnie i wzdychali. W końcu książę odezwał się do żony:

- Co was trapi pani? Przecie widzę wasze zmartwienie jeno nie mogę pojąć o co idzie?

- Przecie sami widzicie panie. Konrad źle się chowa. Nie takiego dziedzica wam potrzeba. A przecież to pierworodny i jemu przyjdzie władać twoim dziedzictwem. Już sama nie wiem co robić i co o tym myśleć.

Zapadło milczenie. Oboje księstwo myśleli intensywnie. Jeno księżna bezradnie, a książę bardziej praktycznie, tak jak do tego przywykł przez wiele lat trudnych rządów. W końcu książę przerwał milczenie.

- Wiecie Pani, że wszystkie nasze dzieci kocham jednakowo i chciałbym im nieba przychylić. Ale tutaj nie wystarczy się użalać, a trzeba podjąć decyzję taką, która zapewni im wszystkim dobre życie. Konrad nie nadaje się na dziedzica księstwa. Niezdatny do ćwiczenia rycerskiego. Na koniu się długo nie utrzyma. W ręcznym boju nie zapewni sobie przewagi. A do tego, żeby nadrobić rozumem braki urody, też nie bardzo się nadaje. Zrobimy tak. Niech dziedzicem księstwa zostanie Henryk. Ziemi i władania starczy również dla Przemka, a Konrada przysposobimy do stanu duchownego. Kiedy

zostanie biskupem to i życie będzie miał dostatnie i bezpieczne, a także spokojniejsze niż na tronie. A przecie i my będziemy mieć zasługę przed Bogiem.

- Oj, dobrze mówicie panie. Niech będzie biskupem. Jenó z Kościołem trzeba się ugodzić żeby klątwę zdjęli. A i wiano mu jakoweś obmyślić.

- Nie martwcie się pani. To już moje zmartwienie. Dostatków mamy dosyć, to i od klątwy się wykupimy, a i na wiano starczy.

Od tej pory minęło znowu kilka lat. Książę Konrad Garbaty, bo tak go powszechnie nazywano, ukończył, acz z niemałym trudem, nauki w szkole kolegiackiej, potem wysłano go jeszcze na studia do Bolonii. Uzyskał święcenia kapłańskie, a nawet został kanonikiem wrocławskim. Jedynie charakter jego się nie zmienił. Lubił dobre towarzystwo, jedzenie i trunki i przedkładał je nad zajmowanie się sprawami urzędowymi. O karierę nie dbał. Z natury zresztą był dobry i łaskawy, miał więc wielu przyjaciół. Z nimi bawił się i popijał, słuchał lutnistów i śpiewaków. Jednym słowem spędzał czas przyjemnie i wesoło. Wydawało mu się, że tak już będzie zawsze.

Ale nic nie jest wieczne. Pewnej grudniowej nocy zaniemógł nagle stary książę Konrad. Sprowadzony medyk nie potrafił mu pomóc i rano książę już nie żył. Na dworze krążyły plotki, że stało się to za sprawą trucizny. Podejrzewano nawet o jej podanie (a w czasie wieczornej uczyty nie było to trudne) przysłanego przez margrabiego brandenburskiego posła, ale dowodów na to nie było. A że w tamtych czasach ludzie umierali łatwo i często, chorób nie umiano leczyć, zdając się na Opatrzność, to i tę śmierć przypisano po prostu woli Bożej. Odbyły się uroczyste egzekwie. Księcia pochowano w kolegiacie, a życie toczyło się dalej.

Początkowo młodzi książęta rządili wspólnie księstwem głogowskim. Tak było łatwiej, zresztą Przemko był jeszcze dzieckiem, a Konrad wcale nie palił się do kłopotów związanych z władzą. Kilka lat później podzielili jednak dziedzictwo i Konrad Garbaty otrzymał jako swój udział Ścinawę i Lubin, Henryk pozostał w Głogowie, a Przemko objął Żagań. Potem Przemko zamienił się z Konradem na dzielnice, temu ostatniemu było zresztą obojętne gdzie będzie mieszkał, dochody czerpał bowiem z licznych stanowisk kościelnych, a dobre towarzystwo zawsze za nim podążało. O jego karierę duchowną starali się bracia, a szczególnie Henryk, któremu bardzo zależało na tym aby scalić wszystkie ziemie dawnego księstwa i w miarę możliwości rozszerzyć swoje panowanie, mierzył bowiem wysoko i chciał zostać królem Polski. Starał się więc usilnie dla brata najpierw o biskupstwo wrocławskie, a kiedy to się nie udało (Wrocławianie może by się i zgodzili na Konrada, ale byli wyjątkowo niechętnie usposobieni do księcia Henryka), załatwił mu godność patriarchy akwilejskiego. Konrad początkowo nie był tym zachwycony, trzeba się było bowiem wybrać w daleką drogę, ale przyjaciele przekonali go, że w Italii jest cieplej, jedzenie i trunki lepsze, a kobiety bardziej gorące i w końcu, po długim marudzeniu, wybrał się w drogę.

Jakoś jednak niesporo mu się jechało. Czym dalej od Żagania tym dłuższe zarządzał postoje marudząc, że pogoda nieodpowiednia, to za zimno to znów za gorąco na jazdę, to znowu wigilia święta i nie wypada wyruszać w drogę, albo też po wczorajszej uczcie spać się chce. Kazał też sobie opowiadać o tym jak jest w tej Akwilei, a głównie o tym co tam jedzą i piją. Nachodziły go też różne wątpliwości. A to czy tamtejszy pałac jest odpowiedni? Czy jest bezpiecznie? Czy papież zatwierdzi jego wybór? Odpowiedzi udzielał najczęściej przysłany przez tamtejsze duchowieństwo kanonik Gwido. Starał się przy tym jak mógł przychylnie usposobić

księcia, w czasie wspólnej podróży zdążył go bowiem polubić. Pewnego razu, kiedy wspólnie ucztowali w przydrożnej gospodzie, a książę powoli popijał z dużego kufła smakowite głogowskie piwo, którego kilka beczek zabrał w drogę, zadał kanonikowi pytanie:

- Powiedz mi, mój dobry Gwido, jakie też w tej Akwilei wyrabiają piwo? Czy aby dostatecznie chmielone, a korzeni i przypraw aby nie żałują?

- W Akwilei panie piwa nie masz, jeno wino bardzo przednie. Odpowiedział Gwido, nie bardzo się nad tym zastanawiając, jako że spełniał już trzeci kufel piwa, którego również stał się w tej podróży amatorem.

- Tego mi Gwido nie powiadaj. Jakże to, piwa nie znają. Toż nawet w Bolonii piwo piłem. Do jakich to pogan mnie wiesz? To ty myślisz, że ja będę pił jakieś kwaśne wińsko? Może i miodu nie znają?

- Niestety panie, miodu tam też nie masz. Ale wina słodkie i dobre i wesołość przynoszące, a i dziewczki powabne wielce - kusił Gwido.

- Ty mi o dziewczkach nie opowiadaj. Tego towaru wszędzie wbród, aby tylko złota starczyło. Ale że piwa nie ma w to i uwierzyć trudno. Ja w takim barbarzyńskim kraju i tak nie wytrzymam. Jutro zawracamy do domu.

Jak powiedział tak i zrobił. Próżno Gwido namawiał i prosił. Prosił zresztą coraz mniej przekonywująco, bo książę piwa kazał dolewać i zapraszał Włocha do Żagania, a Gwido, trudno zaprzeczyć, piwo i księcia bardzo polubił i wcale mu się do ojczyzny nie śpieszyło.

Tymczasem książę Henryk zajął Żagań i z powrotem włączył go do księstwa głogowskiego. Bardzo się też zdenerwował kiedy zobaczył brata z powrotem w Głogowie i w za-

den sposób nie chciał się zgodzić na oddanie mu księstwa. Kiedy tamten nalegał, wpadł w tak wielką złość, że kazał go pojmać i uwięzić w baszcie przy Bramie Szpitalnej. Polecił zresztą dostarczać Konradowi dobre jedzenie i trunki, a osobiwie głogowskie piwo (gęste i korzenne), które tamten tak bardzo lubił. Samo więzienie też nie było zbyt srogie. Konrad mógł przyjmować przyjaciół i ucztować z nimi, a nawet samemu ich odwiedzać, jeno nie wolno mu było opuszczać miasta. Trzeba przyznać, że księciu zupełnie to odpowiadało. Nie trzeba było myśleć o codziennych sprawach, o tym skąd brać pieniądze na utrzymanie dworu. Jeżeli więc narzekał na swoje położenie to tylko dlatego, że tak wypadło i to zwykle tylko z samego rana, zanim jeszcze zdążył wychylić pierwszy kufel głogowskiego piwa.

Co innego jego dawni poddani w Żaganiu. Ci nie mogli odżalować dobrego pana, który niczego od nich nie wymagał, a zawsze gotów był uczestniczyć w wesołych biesiadach. Dla nich dobre czasy skończyły się z chwilą przybycia księcia Henryka. Ten był władcą energicznym, decydował szybko, wydane polecenia egzekwował bezwzględnie. A że ciągle potrzebował pieniędzy na liczne prowadzone wojny, to też i podatki nakładał znaczne i ściągał je nie bacząc na to czy jego nowi poddani są w stanie, bez uszczerbku dla swoich rodzin, je zapłacić. Coraz więcej też było niezadowolonych. W końcu doszło do otwartego buntu. Miejscowi rycerze, korzystając z tego, że księcia Henryka nie było w kraju, wyruszyli do Głogowa, uwolnili Konrada i zabrali go ze sobą do Żagania. Konradowi było zresztą obojętne, gdzie będzie mieszkał, a że bezpośrednio po przybyciu na miejsce jego poddani, radując się ogromnie z powrotu zorganizowali wielką ucztę, był z tego bardzo zadowolony. Książę Henryk, kiedy dowiedział się o wszystkim, najpierw bardzo się gniewał i złościł, ale później doszedł do wniosku, że właściwie dobrze się stało. Konrad przeciwko niemu nie występował, zawsze nawet

gotów był poprzeć brata w jego zamierzeniach politycznych, a rycerze żagańscy nie mieli już powodu aby występować przeciwko niemu. Rychło zresztą jego uwagę zajęły inne sprawy i wszystko zostało po staremu.

Konrad pozostał już do swojej śmierci w Żaganiu, ciesząc się miłością swoich poddanych. Jego brat Henryk nie zdołał uzyskać tronu polskiego, pomimo że niewiele mu do tego brakowało. A wśród mieszczan głogowskich długo jeszcze krążyła legenda o garbatym księciu Konradzie, który tak bardzo upodobał sobie głogowskie piwo, że dla niego zrezygnował nawet ze stanowiska patriarchy Akwilei.

Pojedynek na moscie

Zapadła noc. Ksieni głogowskiego klasztoru klarysek siedziała w swojej celi przy prostym drewnianym stole, na którym, w mosiężnym lichtarzu paliła się gruba woskowa świeca. Migotliwym blaskiem oświetlała kartę papieru, kałamarz z inkaustem i rękę ksieni, trzymającą za temperowane gęsie pióro. Właściwie to wszystko było gotowe do pisania i już nie było żadnego pretekstu do tego żeby odwlec tę chwilę. A jednak ksieni nie mogła się zdobyć na postawienie pierwszej litery. W końcu się przemogła. Westchnęła głęboko, przeżegnała się pobożnie i zaczęła pisać:

Jaśnie Wielmożny, nam wielce łaskawy, Xsiążę Biskupie Panie, a Panie Dobrodzieju nasz!

Mamy to w zwyczaju nam wielce Miłościwy Panie y Dobrodzieju nasz abyśmy w każdym ucisku uciekały się pod obronę Waszej Miłości naszego Miłościwego Pana Dobrodzieja jako tego który każdemu więc y nam sierotom Zakonnym chojną łaskę i pomoc okazywać zwykłeś. A żeśmy z Jego Mością Panem Starostą Wschowskim za rozkazaniem Króla Jego Mości Pana Miłościwego chcąc chronić majątności nas sierot zakonnych wdały się w niejake trudności s których to prawem nie wiedzieć jakim do tego czasu nieznośne podatki wyciągano przeto zwracamy się do naszego Miłościwego Pana y Dobrodzija mając nadzieję, że za łaską Waszej Miłości sprawa ta na sejmie terażniejszym przez Ich Mościów Panów Posłów Województwa Poznańskiego Królowi Jego Mości Panu naszemu Miłościwemu przedstawiona zostanie i pomyśnie dla nas, bogomodlców niegodnych, rozstrzygnięta będzie.

Ksieni przerwała pisanie i zamyśliła się głęboko. To co napisała było tylko wstępem. Wprawdzie ważnym, ale dotyczyło przecież sprawy już tak jakby rozstrzygniętej i właściwie było tylko pretekstem do napisania tego listu. Jak jednak przedstawić biskupowi to o co właściwie jej chodziło. Takie w tym różnej materii poplątanie. Bo to i interesy materialne klasztoru, z którymi zawsze można się zwrócić do władz kościelnych, ale i historia romantyczna wielce, o której nie bardzo godzi się mówić z biskupem i której on może nawet nie zrozumieć. Co innego ona, białogłowa. Postanowiła więc przerwać pisanie i jeszcze raz przemyśleć całą sprawę.

Ksieni odłożyła pióro, wstała i zaczęła szybkim krokiem chodzić po celi. Wiedziała, że nie zaśnie dopóki nie zakończy tego listu. A sprawy, o których musiała napisać wyglądały tak: W niewielkiej wiosce w powiecie wschowskim, niedaleko od granic Śląska mieszkał szlachcic. Nie był bogaty i poza tą wioską niczego nie posiadał. Miał dwie córki. Starsza z nich Agata wstąpiła przed laty do głogowskiego klasztoru i wiodła życie zakonne. Młodsza Jadwiga pozostała w domu. Prowadziła ojcu gospodarstwo i stanowiła jedyną radość jego życia. Nie była piękna, ale zgrabna i wesoła. Umiała wnieść do starego dworu wiele radości i pogody. Szlachcic często myślał o tym jak to Jadwiga wyjdzie za mąż i dwór znowu rozbrzmiewać będzie gwarem dzieci, a on u schyłku swoich dni, siedząc na ławeczce pod lipą, popijać będzie zimne piwo i cieszyć się pogodną starością. Wydawało się, że jest to takie bliskie urzeczywistnienia. Ich sąsiad, Walenty Sierakowski bardzo często przyjeżdżał do dworu, a że był młody i przystojny, a na dodatek wesoły, Jadwiga ogromnie go polubiła. Wprawdzie nie miał majątku, ale niewielka jego posiadłość przylegała do ich wioski i razem wystarczyło by to na dostatnie utrzymanie. Słowem, wszystko zapowiadało się dobrze i należało tylko czekać na spełnienie zamiarów.

Były one jednak zbyt piękne aby mogły się spełnić. Drugim sąsiadem starego szlachcica był bowiem człowiek dziki i okrutny, który chęłpił się tym, że należał do słynnych Lisowczyków, co zresztą nie było prawdą, bo grasował jedynie przez kilka lat wraz z bandą podobnych sobie obwiesiów wyrzuconych z chorągwi za czyny, których nawet tam nie tolerowano. Ten, pozbawiony wszelkich skrupułów człowiek, również upodobał sobie Jadwigę, a widząc, że normalną drogą jej nie dostanie, z bandą zbójów dokonał zajazdu na dwór z zamiarem porwania panny. Traf chciał, że nie było jej w tym czasie w domu, wyjechała bowiem w odwiedziny do siostry w Głogowie. Stary szlachcic mężnie bronił się we dworze wraz z wierną czeladzią, ale w końcu poległ. Dwór został ograbiony i spalony, obrońcy wycięci, a napastnicy rozproszyli się po świecie, mówiono nawet, że wyruszyli na Dzikie Pola i przyłączyli się do Kozaków.

Jadwiga została już w klasztorze. Bardzo ciężko przeżyła śmierć ojca. Stopniowo jednak, dzięki życzliwości siostry i pozostałych mniszek, których większość stanowiły polskie szlachcianki z okolicznych dworów, uspokoiła się. Z czasem nabrała upodobania w życiu zakonnym, spokojnym i pogodnym i sama postanowiła zostać zakonnicą. Ksieni popierała ten zamiar. Raz dlatego, że polubiła Jadwigę, a po drugie, no cóż... Jej wioska przylegała do posiadłości zakonnych i stanowiła ich piękne uzupełnienie. A przecież po śmierci ojca, Jadwiga była jedyną dziedziczką tej posiadłości i przy wstąpieniu do klasztoru stanowiła by jej wiano. Aby to jednak przeprowadzić, trzeba było uzyskać zgodę biskupa, który nie-
zbyt chętnym okiem patrzył na nadmierne, jego zdaniem, powiększanie własności głogowskiego klasztoru w jego diecezji.

Ksieni ujęła ponownie pióro i pracowicie przedstawiła biskupowi dzieje Jadwigi, starając się ukazać je tak, aby wzbudzić w nim litość nad jej losami a sprawy majątności

potraktować marginesowo, jako coś oczywistego i naturalnego. List zakończyła następująco:

Zważywszy y to ile tymi czasy iesteśmy uciążzone złością żarliwych Heretyków i żołnierzem niespokojnym. Tu tylko od Waszej Xiążęcej Mości pomocy i ratunku oczekujemy. Życząc przy tym szczęśliwego w zeczach powrotu, przy dobrym zdrowiu i długotrwałym panowaniu, z biednymi bogomodlcamy Naszego Miłościwego Pana i Dobrodzieia zostawiamy. W Głogowie die 21 men Ianuari 1623 Anno. Jaśnie Wielmożnego nam Wielce Miłościwego Pana y Dobrodzieia Bogomodlki niegodne i rady służące. Dorota Krayewska xieni klasztoru głogowskiego.

Ksieni posypała list piaskiem, strząsnęła go na podłogę, złożyła kunsztownie, zaadresowała i zapieczętowała. Po czym specjalny posłaniec zawiózł go do siedziby biskupa. Pozostawało tylko czekać na odpowiedź. Nadeszła ona niebawem i wbrew obawom ksieni była pozytywna. Biskup obiecywał pomoc w sprawach majątkowych, a Jadwidze przysyłał swoje błogosławieństwo na nową drogę życia. Ostatecznie jedna marna wioska nie była dostatecznym powodem do tego aby wchodzić w spór z potężnym zakonem, który miał możnych protektorów nie tylko w Warszawie, ale nawet i w Rzymie.

Tymczasem zbliżał się dzień obłóczyn Jadwigi. Do Głogowa zjechało wielu gości, krewnych i znajomych panien, które w nim przebywały, a i okolicznej szlachty, bo tak po prawdzie zimą nie bardzo było co robić we dworach, a klasztor był gościnny i chętnie widział zaprzyjaźnionych z nim miejscowych obywateli. Taki zjazd był zresztą znakomitą okazją aby porozmawiać z sąsiadami o zbiorach i polityce, dokonać zakupów w mieście, a dla panien na wydaniu, pokazać się w świecie, a może i poznać kogoś interesującego. W mieście gwarno więc było i wesoło, a miejscowi kupcy i obe-

rzyści zacierali ręce z zadowolenia. Przybył również Walenty, tylko że w nim nie było żadnej radości. Jego plany się zawaliły. Nie wiedział jeszcze co ze sobą robi. Może zaciągnie się do wojsk królewskich, może pojedzie na Dzikie Pola szukać pomsty na podłym zabójcy sąsiada, który zniszczył jego szczęście. Może wreszcie sam wstąpi do klasztoru i będzie wiódł ciche życie wśród podobnych sobie ludzi. Jednego był pewnym. Musiał jeszcze raz spojrzeć na swoją ukochaną. W głębi duszy miał jeszcze nadzieję, że może nie wszystko stracone, może uda mu się ją przekonać i zmienić swój zamiar.

Tak się jednak nie stało. Jadwiga przyjęła go wprowadzić w rozmównicy, ale wszystko wskazywało na to, że jej zamiar pozostania w klasztorze jest ostateczny. Nie pomogły przekonywania i zapewnienia o ogromnej miłości. Jadwiga uroniła wprawdzie kilka łez, ale wszystko co miała mu do przekazania to prośba o modlitwę i o to aby nie żywił do niej urazy i jak najszybciej o niej zapomniał.

W dniu wyznaczonym na uroczystość obłóczyn ranek wstał pogodny i piękny. Mróz był wprawdzie znaczny, ale śnieg skrzył się w słońcu, a powietrze było przeźroczyste. Walenty jednak tego nie widział. Szedł powoli ze zwieszoną głową przez drewniany most na Odrze w kierunku kolegiaty. Właściwie nawet nie wiedział po co tam idzie, ale do uroczystości pozostawały jeszcze dwie godziny i on nie wiedział co z nimi zrobić. Raptem posłyszał tętent konia i po drugiej stronie mostu zobaczył nadjeżdżającego samotnego jeźdźcę. W pierwszej chwili nie zwrócił na niego większej uwagi, ale nagle coś go tknęło. Tak, to był on. Ohydny napastnik i przyczyna jego nieszczęścia. Walenty przystanął i jego ręka sama porwała się do szabli. Jego przeciwnik też go poznał. Wykrzywił twarz ze złośliwą radością, wy dobył szablę i ruszył naprzód.

Oczy Walentego pociemniały od gniewu.

- Zginiesz psie! - wykrzyknął z zaciśniętej krtani.

- Z drogi psi synu!

Obaj przeciwnicy starli się z sobą na środku mostu. Ale jakże nierówne były ich siły. Walenty szczupły i niewysoki, a jego przeciwnik potężny i silny, nawykły do pojedynków i zwad, dla którego zabicie człowieka nie było niczym nadzwyczajnym. W dodatku był na koniu, a Walenty - pieszo. Wydawało się, że nic już nie zdoła go uratować. Ale pierwsze starcie nie przyniosło rozstrzygnięcia. Ostrza szabli zwarły się wprawdzie ze sobą, ale koń poniósł i obaj przeciwnicy się rozdzielili. Jeździec zaklął szpetnie, po czym gwałtownie zawrócił konia i spał go ostrogami. Rumak skoczył i nagle poślizgnął się na pokrytej lodem jezdni. Jeździec, który już podniósł szablę dla zadania Walentemu decydującego ciosu, gwałtownie odchylił się do tyłu usiłując złapać równowagę. W tym momencie Walenty ciął go szablą przez głowę. Koń i jeździec przełamali barierę i spadli w wezbrane i pokryte krą wody rzeki.

Walenty stał chwilę z szablą w dłoni, tak jak gdyby nie bardzo mógł zrozumieć co się stało. Potem wolno przeszedł przez most. Nikt go nie gonił. Straże przy Odrzańskiej Bramie widziały wprawdzie zajście, ale było to już poza miastem, a bili się polscy szlachcice, więc uznały, że nic ich to nie obchodzi. Nie wiadomo co się z nim dalej działo. Może ruszył na Dzikie Pola szukając zapomnienia i śmierci. A może udało mu się zapomnieć, osiadł gdzieś, w innym zakątku ogromnej Rzeczypospolitej i wiódł tam spokojne życie otoczony gromadką dzieci. Nikt tego nie wie.

A Jadwiga pozostała już w klasztorze do śmierci. Z czasem sama została księżką i opiekowała się liczną gromadką zakonnic a także wcale pokaźnymi majątkami należącymi do klasztoru. Była zawsze pogodna i spokojna. Jedyne czasem, kiedy spoglądała przez okno celi na odrzański most wydawało

się, że ogarnia ją jakiś smutek. Ale może tak się tylko wydawało...

Spisek

Wczesnym rankiem pewnego grudniowego dnia 1633 roku zbliżał się do Głogowa oddział jeźdźców. Na jego czele jechał cesarski generał Jan Maciej hrabia Gallas. Z daleka już musiał dojrzeć niedawno wzniesione umocnienia twierdzy, wały i szance uformowane w regularne wielokąty, stojące na nich działa i przechadzających się strażników. Normalnie jego myśli zaprzętały by tak ważne sprawy jak ustalenia wysokości kontrybucji, którą nałoży na miasto oraz jakich podarków zażąda przy tym dla siebie, a także czy znajdzie naprawdę ładną dziewczynę, która umili mu najbliższe noce i trunki godne jego podniebienia. Tym razem jednak generał jechał zasepiony i po raz kolejny rozważał powstałą sytuację. Decyzją którą miał podjąć była bardzo ryzykowna. Szczerze mówiąc groziła nie tylko utratą honoru (o to znowu generał tak bardzo nie dbał), ale wszystkiego co zdołał dotychczas osiągnąć: stanowiska, majątku, a może nawet głowy, a to były już sprawy poważne. Trudno podjąć taką decyzję, tylko że dalsze zwleknięcie było równie niebezpieczne. Trzeba więc było wybierać.

Aby zrozumieć co wydarzyło się w Głogowie i jakie problemy musiał rozstrzygnąć generał Gallas musimy jednak cofnąć się nieco w czasie. Był to już piętnasty rok wojny trzydziestoletniej, w której wzięła udział prawie cała Europa. Była to wojna krwawa i okrutna, ale zarazem dosyć dziwna, inna niż poprzednie. Walczyły ze sobą ogromne zaciężne armie, ale równocześnie ci sami zwerbowani za pieniądze żołnierze coraz mniej chętnie się bili, a z coraz większym zapałem rabowali i niszczyli mienie bezbronnej ludności. Nie były to już czasy, w których wojsko żywiło się upolowaną w lasach

zwierzyną. Utrzymanie ogromnych armii obciążało więc przede wszystkim ludność krajów walczących. Trzeba było dostarczyć pożywienia i trunków, ubrania i obuwia, koni i uzbrojenia. Oficerowie stali się przedsiębiorcami zarabiającymi na wojnie, a fortuny generałów zależały w coraz większej mierze od tego czy potrafią we właściwym czasie zaoferować swoje usługi nie tylko temu, kto mógł więcej zapłacić, ale również temu kto miał większą szansę zwyciężyć. Składano jeszcze wprawdzie uroczyste przysięgi i wiele mówiono o honorze, ale przecież ten, który przegrywał zawsze okazywał się w końcu zdrajcą i uzurpatorem i złożone mu przysięgi nikogo nie obowiązywały.

Na początku 1633 r. dowódcą wszystkich wojsk cesarskich był Albrecht Wacław Euzebiusz Wallenstein, książę Frydlandu, Meklemburgii, Żagania i Głogowa. Zawdzięczał swoją błyskotliwą karierę niewątpliwie ogromnym zdolnościom, przebiegłości, przedsiębiorczości i... bezwzględności. Syn ubogiego szlachcica, sierota od dwunastego roku życia, po krótkiej nauce w Ołomuńcu, Złotoryi i Frankfurcie, gdzie zresztą głównie zajmował się pijatyką i burdami ulicznymi, wraz z podobnymi sobie młodymi ludźmi, zaciągnął się na wojnę przeciwko Turkom. Został nawet przez stany czeskie mianowany pułkownikiem. Potem zdradził swoich czeskich „pracodawców” i przeszedł na stronę cesarza. Od tego czasu jego kariera toczyła się szybko, a wraz z nią rosła sława i ogromna fortuna, zdobywana drogą łupiestwa, skupywania za bezcen majątków, a nawet fałszowania monety i innych brudnych interesów. Wzbogaciwszy się, wystawił własnym kosztem ogromną armię i został naczelnym wodzem wojsk cesarskich. Jego znaczenie (i dochody) sięgnęły szczytu. Rychło jednak okazało się, że przysparza mu to wielu wrogów wśród otaczających cesarza dworaków. W 1630 r. otrzymał dymisję aby po roku znowu stanąć na czele armii. Powrócił jako triumfator, jako niezastąpiony organizator i wódz, ale ciągle nosił w

sobie poczucie krzywdy związane z poprzednią dymisją. Jego pozycja zdawała się być większą od cesarskiej. Chwilami czuł się od niego niezależny. Zaczął pertraktować ze Szwedami i Sasami. Czy to była tylko zdrada? Czy też może marzyła mu się korona cesarska? Któż to wie? Księżę nie zwykł nikomu zdradzać swoich zamiarów.

Latem 1633 r. Wallenstein rozpoczął wyprawę na Śląsk. Jego czterdziestotysięczna armia walczyła z wojskami saskimi, brandenburskimi i szwedzkimi. A właściwie to nie walczyła. Obie armie stały naprzeciw siebie i ich dowódcy prowadzili nie kończące się rokowania. Pomimo coraz większego zdenerwowania dworu wiedeńskiego Wallenstein nie wykorzystywał dogodnych sytuacji militarnych. W końcu cała wyprawa skończyła się mizernym zwycięstwem polegającym na odebraniu Szwedom Ścinawy. Również podjęta przez niego wyprawa do Bawarii zakończyła się niepowodzeniem. Był to już zresztą koniec listopada, a w tamtych czasach w zimie nie walczone. W grudniu Wallenstein wrócił z wojskiem do Pilzna i zatrzymał się tutaj na zimowy postój. Był bardzo ciężko chory na podagrę, której wówczas nie umiano skutecznie leczyć. Cierpiał straszliwe bóle nóg i nie podnosił się z łóża. Chmury gniewu gromadziły się na niego na dworze cesarskim i coraz częściej padało słowo „zdrada”. Jego własne wojska były coraz mniej pewne, a plany przejścia do obozu przeciwnika ciągle nie mogły się skonkretyzować. W tej grze nie do wierzał nikt i nikomu.

Ciężkie więc myśli musiały trapić generała Gallasa, kiedy na polecenie Wallensteina udawał się do Głogowa. Księżciu zawdzięczał wszystko: generalski stopień, hrabiowski tytuł i majątek. Ale księżę był już ciężko chory, a w dodatku pozostawał w sporze z cesarzem. A jeżeli w tej grze zwycięży cesarz? Może trzeba będzie zaczynać od początku, cesarza w rękę całować i znienawidzonych dworaków o protekcję

prosić, aby raczyli zapomnieć z kim wiązał przez lata swe losy. A wdzięczność za dobrodziejstwa? Nie, takie uczucia obce były zarówno księciu jak i jego generałowi. Tutaj liczyła się tylko siła, przebiegłość i zdolność przewidywania. Ale jeżeli, jak już tyle razy przedtem, wygra Wallenstein. Wszakże tenże Wallenstein w Pilźnie zwierzył się jego przyjacielowi Piccolominiemu z niektórych swoich planów. Część Śląska miał odstąpić królowi polskiemu, aby mu nie przeszkadzał, a księstwo żagańskie i głogowskie miał otrzymać on, hrabia Gallas. Zaiste, zawrotna to kariera dla kogoś, kto zaczynał służbę jako prosty żołnierz. Tylko że Wallenstein był chory i coraz bardziej słaby, a jego przeciwnicy coraz silniejsi.

W Głogowie trzeba jednak było najpierw zająć się zwykłymi sprawami związanymi z zakwaterowaniem żołnierzy, inspekcją rozlokowanych w okolicach oddziałów i rozbudową umocnień twierdzy, a także dyskretnie wybadać nastroje miejscowych oficerów. 1 stycznia 1634 r. do miasta przybył Piccolomini. W głogowskim zamku rozpoczęły się rozmowy obu generałów. Znali się obaj doskonale i chyba dlatego nie bardzo sobie ufali. Na żądanie Gallasa w rozmowach wziął udział jeszcze jeden generał Collorado - Waldsee, co zresztą wcale nie ułatwiło zawarcia porozumienia, bo nie toczyły się już one w cztery oczy i żaden ze spiskowców nie mógł już liczyć na to, że uda mu się później wyprzeć tego co powiedział. Potem do miasta przybył jeszcze wysłannik cesarza generał Paul Andreas Wolkenstein, którego zadaniem było zbadanie lojalności Gallasa wobec cesarza. Tego jednak do poufnych rozmów nie dopuszczono, ale już sam jego przyjazd był dla spiskowców sygnałem, że sytuacja na dworze dojrzała do rozstrzygnięcia. Jednak rozmowy ciągle jeszcze były trudne. Spiskowców mógł łączyć tylko interes. Innych powodów nie było. A Wallenstein ciągle jeszcze mógł zwyciężyć, albo... jak to już było wiele razy, pogodzić się z cesarzem. Wtedy ich sytuacja była by nie do pozazdroszczenia.

Ale dla wszystkich trzech generałów stawało się już coraz bardziej jasnym, że w razie, coraz bardziej prawdopodobnego, upadku Wallensteina, będą sobie wzajemnie potrzebni. Przecież bez pomocy armii cesarz nie będzie mógł udzielić dymisji wszechwładnemu dotychczas dowódcy. Ci którzy poprą monarchę we właściwym czasie będą mogli liczyć na poważną nagrodę. 4 stycznia na głogowskim zamku odbyła się ostatnia narada. Trzech generałów długo siedziało przy zastawionym stole. Służba od czasu do czasu donosiła wino i objaśniała świece, ale oni pili mało. Ciągłe jeszcze sobie nie dowierzali. Jeden patrzył na drugiego z pode łba i każdy obawiał się pierwszy zaproponować pozostałym rozstrzygnięcie. W końcu Gallas przerwał milczenie:

- Panowie, księżę jest ciężko chory i dalej wojny prowadzić nie może. Jego beczynność jest groźna dla nas wszystkich. Trzeba podjąć radykalną decyzję.

- W końcu to wyksztusiłeś, odezwał się Piccolomini. A ja popieram. Dalsza zwłoka to śmierć.

- Czas przystąpić do szczegółów. Generał Collorado jak zawsze był konkretny. Zresztą wiedział, że w tej grze jemu przypadnie raczej rola wykonawcy, co wcale nie znaczyło żeby miał z tego osiągnąć mniejsze korzyści.

Rozmowy potoczyły się rażno. Ostatecznie uzgodniono stanowisko. W wypadku otwartego konfliktu Wallenstein z cesarzem spiskowcy udzielą swojego poparcia cesarzowi. Uznali również, że we właściwym momencie trzeba będzie przyspieszyć bieg wypadków składając cesarzowi odpowiednie doniesienie na księcia. Z tym nie było problemów, postępowanie księcia wprost podsuwało odpowiednie argumenty. Już w połowie stycznia zręcznie napisał go, specjalista od takich spraw - Piccolomini.

Dalej wypadki potoczyły się szybko. 24 stycznia 1634 r. cesarz, po długich wahaniach (Jego Cesarska Mość Ferdynand II bardzo nie lubił nudnych spraw państwowych, a uwielbiał piękne kobiety, polowania i inne rozrywki) podpisał patent pozbawiający Wallensteina stanowiska naczelnego dowódcy i powierzający je Janowi Maciejowi hrabiemu Gallasowi, który zresztą nic o tym jeszcze nie wiedział bo właśnie wracał z Głogowa do Pilzna. Jeszcze były problemy z wykonaniem decyzji cesarza. Ostatecznie znaczna część wojska ciągle pozostawała wierna Wallensteinowi. Ale tych „wiernych” było coraz mniej, a księżę coraz bardziej chory i niedołężny. Tutaj jednak każdy pilnował swojego interesu. W chwili kiedy gwiazda niezwyciężonego dotychczas dowódcy zgasła, w dniu 25 lutego 1634 r. Albrecht Wacław Euzebiusz księżę Wallenstein został zamordowany. Spisek głogowski wydał owoce.

W wieży głodowej

Był to koniec panowania Jana II, ostatniego piastowskiego władcy księstwa głogowskiego. Wydawało się, że książę powinien już być zadowolony. Osiągnął wszystko o co przez wiele lat walczył: bogate księstwo, poważanie i bojaźń sąsiadów, a nawet stosunkowo dobre stosunki z potężnym suwerenem, królem Maciejem. Ale ten książę, nazywany przez współczesnych „szalonym” nie byłby sobą gdyby zadowolił się tym co ma. Przecież księstwo było mu przekazane w lenno tylko dożywotnio i po jego śmierci miało powrócić do króla Macieja. Wprawdzie książę nie miał synów, ale przecież miał córki. Jakże mógł dopuścić do tego, aby wywalczone z takim trudem miasta i wioski wziął sobie po jego śmierci jak swoje ten nieudany potomek Macieja - Jan, o którym książę nie mógł nawet myśleć bez obrzydzenia. Trzeba temu zapobiec. Książę wiedział, że najlepszym sposobem jest metoda faktów dokonanych. Wszakże król Maciej jest daleko i ma inne i to o wiele ważniejsze kłopoty na południowych granicach swojego królestwa. Nie znajdzie czasu ani siły aby zajmować się odległymi śląskimi sprawami. Jak pomyślał tak też zrobił. Wydał swoje córki za mąż hurtem (książę uwielbiał radykalne pociągnięcia) za synów księcia ziembickiego. Odbyło się potrójne huczne wesele, po czym książę Jan uroczystie oświadczył, że przekazuje księstwo głogowskie w dziedzictwie swoim zięciom i zażądał od stanów głogowskich złożenia im hołdu, jako przyszłym władcom tej ziemi.

Jan II, który księstwem rządził żelazną ręką, nie spodziewał się oporu stanów, a tym bardziej głogowskich mieszczan. Dostyc jednak dla niego niespodziewanie rajcy głogowscy ostro się temu sprzeciwili. Złożyli wszakże już wcześniej

hołd królowi Maciejowi i czuli się zobowiązani dotrzymać go. Możemy także sądzić, że mieszczenie, przyzwyczajeni w czasie trwającego długie lata podziału miasta na część książęcą i królewską, do dość znacznej swobody, z trudem godzili się na surowe, a czasem wręcz despotyczne rządy księcia Jana i woleli pozostawać pod panowaniem odległego od nich króla Macieja licząc, że ten nie będzie zainteresowany zbyt drobiazgową ingerencją w sprawy miasta i pozwoli im samodzielnie załatwiać swoje sprawy, a nade wszystko nie będzie tak dokuczliwy w sprawach podatkowych.

Opór głogowskich mieszczan wywołał natychmiastową i bardzo gwałtowną reakcję księcia Jana. Kłął strasznie i rzucał różnymi przedmiotami, tak, że nikt nie odważył się do niego podejść. Kiedy się trochę uspokoił zawołał komendanta straży zamkowej i natychmiast kazał do siebie doprowadzić członków rady miejskiej z burmistrzem na czele. Knechci ruszyli spieszo i chociaż to była noc, przywlekli przerażonych mieszczan, nie dając im nawet czasu na porządne ubranie się. Rzucili ich na podłogę komnaty. Książę chodził nerwowo tam i z powrotem. Wyrzucał przy tym słowa tak szybko jak tylko mógł.

- To wy, łyki przekłete, ośmielacie się sprzeciwiać mojej woli. Nie wiecie, takie syny, że mogę was kazać powiesić, albo zerwać koźmi. Zabiorę wam majątek. Wasze dzieci będą żebrać. Każę was spalić. Poobcinam wam ręce. Powyrywam języki...

Książę dyszał ciężko i mówił coraz bardziej bezładnie. W końcu zaczął się uspokajać.

- Natychmiast złożycie przysięgę na wierność dostojnym książętom: Albrechtowi, Jerzemu i Karolowi - moim zięciom. I głową odpowiecie za dotrzymanie tej przysięgi. Wy i wasze dzieci.

Rajcowie milczeli. W końcu pisarz miejski Jan Koeppler zdobył się na odwagę i powiedział.

- Racz nam wybaczyć dostojny książę, ale nijak nie możemy. Wszakże dopiero co przysięgaliśmy na ewangelię dochować wierności Najjaśniejszemu Panu Maciejowi i jego synowi Janowi i nie możemy łamać przysięgi. Przecież za to grożą męki piekielne. Ulituj się nad nami, chudopachołkami. Miej litość nad naszymi dziećmi.

Książę poczerwieniał gwałtownie i wydawało się, że w tej chwili trafi go apopleksja. Przez chwilę nie mógł wydobyć z gardła żadnego dźwięku. W końcu zaczął krzyczeć strasznym głosem:

- Zginiecie jak psy. Do lochu z nimi, do lochu, do lochu!

Pachołkowie porwali rajców pod ręce i wywlekli z komnaty. Książę pochwycił stojący na stole dzban z winem i zaczął pić gwałtownie, wylewając trunek na ubranie i podłogę. Wino musiało stępić jego złość, bo wymamrotał już tylko: - Niech gniją głupcy. - i podtrzymywany przez pokojowych poszedł spać.

Pachołkowie powlekli rajców do ponurej gotyckiej wieży, stojącej w narożniku zamku i wrzucili ich do lochu. Początkowo nikt się nimi nie interesował. Książę zdawał się zapomnieć o swoich więźniach. Zresztą miał tak wiele kłopotów, że nie dziwota. Jego czyn obudził przytłumione nadzieje sąsiadów, z których prawie każdy miał do niego różne pretensje i rad by oderwać od księstwa głogowskiego część ziem. Król Maciej wprawdzie zrazu nie reagował, zajęty ważniejszymi sprawami, ale wieści z dworu dochodziły złe i lada chwila można się było spodziewać interwencji. Skarb nadzarpnęły wydatki weselne, a zięciowie coraz otwarciej i coraz częściej upominali się o prawo współrządzenia księstwem i po cichu dzielili między siebie dziedzictwo, kłócąc się przy tym o

każdą wieś czy miasteczko. Księżę ustawicznie jeździł, szukając pieniędzy i sojuszników, nic więc dziwnego, że zabrakło mu czasu aby pomyśleć o uwięzionych.

Tymczasem oni żyli w straszliwych warunkach panujących w ponurym lochu. Nikt się nimi specjalnie nie zajmował. Ich krewni z miasta dostarczali im jedzenie, a nawet świece i odzież, a pacholankowie zamkowi zanosili im je, zresztą za odpowiednią opłatą. Pisarz miejski Koepler zaczął nawet pisać relację z uwięzienia, której fragmenty znalazły się później w kronice Joachima Cureusa i dzięki temu możemy prześledzić losy uwięzionych w taki sposób jak oni to przeżywali i odczuwali. Posłuchajmy fragmentów tej ponurej kroniki:

„W sobotę Okuli (8 marca) 1488 r. Jan z Głogowa, szeroko okrzyczany ze swojej tyranii, gdyż swego brata Baltazara kazał głodem zamorzyć, wygnał swoją siostrę i gwałtem wypędził z Głogowa księżną Małgorzatę, nas biednych, którzyśmy owego czasu siedzieli w krzesłach rajców, wrzucić kazał do więzienia. On wymyślił na nas ciężkie oskarżenia, jakobyśmy obwinili go przed królem, przyrzekli oddać zamek i miasto królowi i wiele innych. Lecz Bóg najwyższy da świadectwo o naszej niewinności, że nigdy nie staraliśmy się tego uczynić, ani nie myśleliśmy o tym. Prosiłiśmy aby przez zgodne z prawem przesłuchanie i rozpoznanie rozstrzygnięto tę sprawę, lecz nasze prośby były daremne. Księżę szalał z gniewu. Kazał nas wrzucić do obrzydliwej, okrągłej wieży zamkowej, która jest strasznym więzieniem... W tym smrodzie i gnoju musieliśmy siedzieć aż do radosnych świąt Wielkanocnych. Wtedy prosiliśmy aby w myśl chrześcijańskich zwyczajów podano nam św. Sakrament, lecz tego nam biednym ludziom nie dozwolono. Dotychczas zaopatrywali nas w żywność nasi bliscy z miasta lecz teraz ostro im tego zabroniono. Przez pewien czas jeszcze żywiono nas dwa razy dziennie, po-

tem już tylko jeden raz. Teraz mogą dobre i pobożne serca oszczędzić co nas siedmiu wycierpiało nędźnie żyjąc w ciemności i strachu. Moglibyśmy o tym dużo powiedzieć lecz powierzamy to dobremu i łaskawemu Bogu. ”

„A więc żyliśmy obok siebie aż do wieczora święta Wniebowzięcia Matki Boskiej (15 sierpnia), które nazywa się święceniem ziół. Wtedy zmarł jeden z nas - Antoni Knappe - bez żadnych Sakramentów, mimo że razem z nami usilnie o to prosił. Odczuwał wielką skrucę za swoje grzechy i pocieszał się łaską i miłosierdziem Bożym. Niech Ten będzie dla niego łaskawy. Po jego śmierci musieliśmy cierpieć wiele złego. Obwiniano nas o liczne złe czyny, my jednak przed Bogiem jesteśmy niewinni. W końcu gdy nie mogli nam nic wykazać kazali nas uśmiercić w więzieniu. Raz żywili nas innym razem nie. ”

„W dniu Narodzin Matki Boskiej (8 września) dano nam trochę żywności, potem przez całe cztery dni nic nie otrzymaliśmy, ani jeść ani pić. Każdy mógł łatwo zrozumieć, że już dłużej nie będziemy mogli wytrzymać. Prosiłiśmy o św. Sakramenty według obrządku Kościoła chrześcijańskiego lecz nie otrzymaliśmy ich. Tak więc przypuszczamy, że zgotują nam nędną i straszną śmierć. Oby nas Bóg w cudowny sposób podtrzymał. Oświadczamy jednak każdemu, kto to nasze pismo czytać albo słyszeć o nim będzie, że my w prawdziwej wierze w Chrystusa umrzeć chcemy. A nadto, że my niewinnie taką śmierć okrutną cierpieć musimy i że nie jesteśmy także winni tego o co nas oskarżył książę na rynku w ratuszu. Poświadczamy, że dzieje nam się krzywda i powołujemy się na Boga i chcemy księcia Jana, naszego nielaskawego pana uczynić za to odpowiedzialnym przed sprawiedliwym i surowym tronem sędziowskim Boga. Można być pewnym, że gdyby on (książę) mógł nam to oskarżenie prawnie dowieść nie byłby nas w tak tyrański sposób do tego strasznego lochu wsadził i pozwolił umierać... ”

„To pismo zostało sporządzone wśród wielkiej boleści, niewypowiedzianych cierpień i udręk szóstego dnia po Podniesieniu Krzyża, który był 19 września. Prawie 14 dni, jeden po drugim, nie dano nam ani jeść ani pić. Niech Bóg im wszystkim którzy pomogli nas dręczyć, przebaczy i odpuści. W sobotę po Podniesieniu Krzyża przyszli i zabrali Mikołaja Guentzela aby go ułaskawić, lecz nas pozostawili. Prosiłiśmy więc jeszcze raz o Sakramenty, lecz nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi. Błagaliśmy, aby nam przecież tak nędznie nie pozwolili zginąć i dali nieco żywności. Wtedy przyniesiono nam 30 dworskich małych chlebów, dwie kanki piwa i kankę wody. Tą żywnością i tym napojem podtrzymywaliśmy nasze życie aż do wtorku. Tego dnia prosiliśmy tylko o picie. Dano nam wtedy kankę, do której wchodziło dziesięć kwart piwa. Tak utrzymywaliśmy się aż do czwartku po św. Lembercie (18 września). W tym dniu błagaliśmy w wielkim pragnieniu na miłość Boga i jego Świętej Matki lecz odmówiono nam. Byliśmy srogo nękami niewypowiedzianym pragnieniem. I wy ludzie mili wiedźcie, że pragnienie nękało nas bardziej niż głód. Potem przyszedł szlachcic, którego nazywano ojcem księcia. Ten zabrał klucze od wieży i odszedł. Pozostaliśmy w więzieniu. Boże pomóż nam!”

„Przy tej bolesnej nędzy i wielkim cierpieniu ja, Jan Koeppler to napisałem. Atrament zrobiłem z sadzy knota. Nasz ciężki los jest w ręku Boga, gdyż zabrano nam żywność i napój i nie będziemy dłużej żyli. Niech Bóg pozostanie przy nas i podtrzyma nas.”

Uwięzieni umierali jeden po drugim. Jedyne Guentzel został zwolniony, ale wyniszczony pobytem w wieży wkrótce zmarł. Zemsta księcia ścigała ich również po śmierci. Zostali pogrzebani we wspólnej mogile do której niesiono ich na drabinie, co miało być wyrazem pogardy i poniżenia. Nie na wiele się to jednak przydało księciu Janowi. Król Maciej wy-

słał przeciwko buntującemu się lennikowi swoją „czarną rotę”. W połowie maja 1488 r. rozpoczęło się oblężenie Głogowa. Jan II przegrał i musiał uchodzić z miasta. Już nigdy nie odzyskał swojego księstwa.

A w starej głogowskiej kronice zapisany został następujący wiersz:

*Czytaj, drogi czytelniku, o zadziwiających sprawach,
Które często powoduje zazdrość i chciwość;
Następował jeden książę po drugim,
Za tego ostatniego powstała wielka nędba
Na Śląsku, gdy Maciej król Węgier spostrzegł, że
Musi nakazać oblężenie Głogowa,
Książę Jan z niechęci do niego,
Rajców kazał wtrącić do lochu
I w nim życie skrócić.
Zabronił dawać im jedzenie i picie.
Uciskał rajców ból głodu.
Musieli w krótkim czasie zginąć w lochu
Z głodu i pragnienia.
Ich dusze wszechmocny Bóg
Do innego państwa przyjął.
Był to tysięczny czterechsetny osiemdziesiąty ósmy rok.
Kto przeczyta niech mówi:
Biednym rajcom zechcij Boże być łaskaw.*

Czwarty jezdziec Apokalipsy

Biczownicy! Biczownicy idą!

Mały Hans biegł ulicą Długą i wrzeszczał jak opętany. Ludzie wyglądali przez okna. Wychodzili przed domy i czekali. Nikt się jednak nie śmiał i nie żartował, jako to było w zwyczaju, kiedy przez miasto przeciągały ekipy trefnisiów i kuglarzy. Przeciwnie. Na twarzach ludzi znać było troskę ogromną i zwykły ludzki strach. Biczownicy zwiastowali zarazę. Morowe powietrze. Czarną śmierć. A przed nią nie było ratunku. Chyba uciec daleko, do dzikich pustkowi, gdzie nie ma ludzi i gdzie może ona nie zdoła człowieka dopaść, chociaż i to nie było pewne. Ale uciec? Zostawić cały dorobek swojego życia na pastwę losu? A jeżeli to nie pomoże. Jeżeli okropna śmierć dopadnie człowieka z dala od jego bliskich? Może lepiej już pozostać wśród swoich?

Ludzie stali przed domami i czekali. A w głębi ulicy nadciągała procesja. Na przedzie szedł wysoki człowiek i niósł krzyż. Za nimi, w równych szeregach podążali biczownicy. Obnażeni do pasa maszerowali śpiewając ponurą pieśń. Trzymanymi w ręku biczami okładali się w takt tej pieśni po obnażonych plecach, po których spływała krew i kapłała na ziemię. Oni jednak zdawali się nie czuć bólu i szli dalej śpiewając zapamiętane. Za nimi podążał tłum. Jakiś wysoki starzec wołał do kulących się po bramach ludzi:

- Antychryst się zbliża. Nadszedł czas pokuty i umartwienia. Podążajcie z nami. Błagajcie Boga o miłosierdzie.

Ale ludziom było nieśpieszno. Jakże tak. Rzucić dom, dzieci, rodzinę, mienie, którego się dorabiali przez całe pokolenia. Iść na poniewierkę w nieznane.

Tymczasem biczownicy przerwali swoją pieśń i stanęli obozem na rynku. Mieszkańcy Głogowa pośpieszyli do nich, przynosząc im kto co miał do jedzenia i picia. Niektórzy czynili to nawet dosyć gorliwie, tak jakby chcieli się tymi datkami wykupić od tej straszliwej procesji, od poniewierki, a bardziej może od tego co biczownicy zwiastowali. Od zarazy. Od straszego morowego powietrza.

Tymczasem wysoki człowiek wszedł na beczkę stojącą koło ratusza i zaczął krzyczeć:

- Ludzie! Ratujcie swoje dusze. Moce piekielne sprzysięgły się przeciwko rodzajowi ludzkiemu i pochłoną wszystkich, którzy żyją w grzechu i nieczystości. Wielka zaraza idzie do nas od Moraw. We Wrocławiu mrą już na ulicach. Antychryst przybył na ziemię. Koniec świata się zbliża. Czyńcie pokutę za swoje grzechy. Chodźcie z nami. Ratujcie swoje dusze!

Nikommu jednak nie było śpieszno. Biczownicy nie na długo zatrzymali się na rynku. Brali pożywienie i napój, które im przynosili mieszkańcy, nie dziękując. Spożywali w milczeniu, po czym podnieśli się i na wezwanie wysokiego starca ruszyli dalej śpiewając swoją ponurą pieśń.

Biczownicy odeszli, a w mieście pozostał strach. Ponure wieści o zarazie, które dochodziły tutaj już od poprzedniego roku stały się raptem bardzo realne i bliskie. Dopóki czarna śmierć grasowała w dalekiej Italii nie wydawała się jeszcze groźna. Kiedy pojawiła się w Czechach i Austrii sprawa stała się poważna. Ale we Wrocławiu. To przecież prawie za miedzą.

Kościół wypełniły się wiernymi. ” Od powietrza, głodu, ognia i wojny uchowaj nas Panie! ” - śpiewano. Ale tak

naprawdę liczyło się tylko „powietrze” czyli zaraza, mór, przed którym nie było ratunku. Uciekać, czy zostać? A jeżeli zostać to jak się chronić?

Rajcy miejscy zebrali się na ratuszu. Radzili długo, ale nie mogli niczego uradzić. W końcu wezwano dwóch praktykujących w mieście medyków prosząc ich o radę. Pierwszy zabrał głos stary Antonius, uchodzący za człowieka mądrego i wszelkie choroby leczącego, nic dziwnego, przecie na dalekich wszechnicach swoją wiedzę zdobywał, przeróżne medykamenty znał i ku pożytkowi mieszkańców stosował. Ten, chwilę się namyślał, po czym trzęsącym się od starości głosem przemówił:

Jako już uczony Jan, archidiakon kolegiaty naszej, w swoim epokowym dziele: „Causae et signa pestilentiae et summa remedia contra ipsam”, rzekł: „Pierwsza przyczyna zarazy polega na nadpsutym powietrzu i to podwójnie, albo w jakości, albo w substancji. Drugą przyczyną jest, kiedy powiew wiatrów przynosi szkodliwe wyziewy z miejsc cuchnących i z otchłani, kiedy wiatr przynosi smród ze zwłok zamordowanych w rzeźniach. Trzecia przyczyna wywodzi się z cuchnącej wody i zakażonej przez jakieś przedmioty ustawione nad wodą, które psują powietrze, a w szczególności tam, gdzie składa się len albo konopie, co w najwyższym stopniu zabija ludzi. Główne przyczyny zarazy to planety i inne ciała niebieskie, podnoszące wyziewy korzystne i szkodliwe, które zakłócają powietrze i psują je”. Przeto wystrzegać się trzeba powietrza, osobliwie nocnego i w dni słotne. Niechaj więc mieszczanie w domach się zamkną, ziele jałowca palą, a kto może niechże wykadza dom kadzidłem, poświęconym w kościele. Dobrze też jest brać na przeczyszczenie i krew puszczać, w której zdradliwe wapory schronienie mają. Reszta w ręku Najwyższego i On tylko może uchronić mieszkańców od śmierci.

Medyk Ignacy, którego zresztą Antonius nie uznawał za lekarza, jako że ten żadnych uczelni nie kończył i swoją wiedzę nie wiedzieć skąd zdobywał, był zgoła innego zdania:

- Niczego tutaj zdziałać nie można, tylko uciekać jak najprędzej, najlepiej do miejsc suchych i lesistych. Uczony Antonius, którego mądrość jest niezmierzona, powoływał się na mistrza Jana. Ja wszelako przypomnę innego Jana, zwanego Stanko, którego był nie tylko głogowskim kanonikiem, ale i sławnym lekarzem na dworach królów Zygmunatów: Starego i Młodego. Ten zwykł był mawiać, że jedyną radą na zarazę jest: „Szybko uciekaj. Długo przebywaj w odosobnieniu. Późno wracaj”. A więc kto może niech miasto opuszcza, a kto nie może niech się wystrzega ludzi dotkniętych zarazą. Bramy więc trzeba zamknąć. Obcych nie puszcząć. Dla zarażonych zbudować pomiędzy murami miejskimi osobne domy, aby się nie stykali ze zdrowymi. Ludzie niech pokutę czynią i na śmierć się gotują. A nie zaszkodzi też wody się wystrzegać i pić gorzałkę z piołunem.

Radni więc dalej nie wiedzieli co zrobić. W końcu jednak ogłosili decyzję, bo przecież musieli ogłosić jakąś decyzję: Kto pragnie wyjechać, niech to uczyni najdalej do trzech dni. Ci co pozostaną niech się zaopatrzą w pożywienie na sześć tygodni. Potem bramy miasta zostaną zamknięte i nikt nie będzie mógł ani wejść ani wyjść. Zarządzono też uroczyste nabożeństwa po kościołach i procesje błagalne, a pomiędzy murami ustawiono szopy dla zarażonych.

Już nazajutrz ludzie zaczęli wyjeżdżać. Początkowo tylko najbogatsi. Na wozy ładowano najcenniejszy dobytek. Zabierano ze sobą zwierzęta gospodarskie i domowe, a nawet meble i wyruszano przez Bramę Brzostowską na zachód. Byle dalej od zarazy. Później ruszyła biedota. Pieszko, z węzełkami na plecach trochę szmat i jedzenia zawierającymi. Miasto powoli pustoszało. Pozostali nieliczni. Ci którzy nie mieli dokąd

pójść i ci, którzy z niczego nic sobie nie robili, a i zarazę lekce sobie ważyli. Pozostali również ludzie starzy i niedołężni, chorzy, a także zakonnicy i kapłani, którzy ufali, że bez woli Bożej włos im z głowy nie spadnie, a wiedzieli również, że w czasie zarazy tutaj w Głogowie będą najbardziej potrzebni. Do miasta zaczęto zwozić pożywienie i beczki z gorzałką, jako że ponoć najbardziej należało się wystrzegać wody, która najłatwiej psuła się w okresie moru. Osobliwe, że ze wszystkich rad, ta właśnie najbardziej przypadła mieszczanom do gustu.

Trzeciego dnia zamknięto bramy miejskie. Odtąd pozostało już tylko czekać i mieć nadzieję. Kościoły ponownie napełniły się wiernymi. Zarządzono uroczyste procesje i adoracje. Ludzie oderwani od swoich codziennych zajęć musieli przecież coś zrobić z czasem, a i jakoś zagłuszyć ciągle potęgujący strach. Pito też na umór, tylko że po domach, szynki bowiem i traktiernie zostały, zgodnie z zarządzeniem burmistrza, zamknięte. A poza tym wszyscy czekali. I to właśnie było najtrudniejsze. I jeszcze wielu miało nadzieję, że zaraza ominie Głogów, że zatrzymają ją zamknięte bramy, odpędzi dym palonego jałowca i pobożne śpiewy.

Najgorsze jednak przyszło. Pierwsza zaniemogła stara Anna, żebraczka, która zwykle siedziała w kruchcie u jezuitów. Napadła ją straszna gorączka, twarz jej szczerwieniła, a potem całe ciało pokryło się bąblami. Jęczała strasznie. Ludzie bali się wchodzić do kościoła. Pachołkowie miejscy ubrani w długie czarne opończe i z twarzami zakrytymi kapturami zabrali ją ułożoną na płachcie do szopy dla chorych. Następny był Grzela. Potem mały synek kowala Schmita.

Później już nikt nie liczył umierających. Pachołkowie wyciągali ich z domów długimi bosakami i chowali na specjalnym cmentarzu, urządzonym za Bramą Wrocławską. Domy, których mieszkańcy wymarli, palono, jako dotknięte

zarazą. Bram miejskich już nikt nie zamykał, zresztą, kto odważyłby się przybyć do zarażonego miasta. Początkowo jeszcze dzwony dzwoniły i odbywały się nabożeństwa. Później i to ustało, jako że nie bardzo miał kto je odprawiać. Ohydny smród rozkładających się ciał, których nie nadążono grzebać unosił się w powietrzu. Ulice były wyludnione, sklepy i kramy zamknięte.

Straszliwa epidemia trwała kilka tygodni. Potem „czarna śmierć” odeszła. Ci nieliczni, którzy przeżyli, powoli dochodzili do siebie. Jeszcze wolniej i z wielką obawą wracali uciekinierzy, ale też nie wszyscy, bo wielu choroba dopadła w zupełnie innych okolicach. Stopniowo miasto wracało do życia.

I na tym można by było zakończyć nasze opowiadanie. Ale ludzie długo opowiadali o pewnej smutnej i romantycznej historii, która wydarzyła się w ogarniętym zarazą mieście. Otóż w pięknej kamienicy na Rynku mieszkał pewien kupiec, tak bogaty, że sam już nie wiedział jakie skarby kryły jego lochy. Miał on córkę, piękną Gertrudę. Oboje i bogaty kupiec i jego córka byli bardzo wyniośli i niedostępni. Mówiono, że dziewczyna oczekiwała chyba na księcia z bajki, który zabierze ją do kąpiącego złotem i perłami pałacu. Zwykłych ludzi nie dostrzegała. Traf chciał, że w pysznej pannie zakochał się ubogi szewczyk, przybłęda ze wsi, terminujący u majstra Szymona. Do panny nie miał śmiałości się nawet zbliżyć. Wodził jedynie za nią rozmarzonym wzrokiem, kiedy wystrojona i dumna szła z ojcem do kościoła, a potem zasiadała w kolatorskiej ławce ustawionej na prezbiterium. Panna, nawet jeżeli zdawała sobie sprawę, że szewczyk jest w niej zakochany (a któraż dziewczyna tego nie wie), nie zwracała na niego najmniejszej uwagi. Pieniądze i pozycja ojca zepsuły ją zupełnie.

Bogaty kupiec nie zdecydował się na wyjazd z Głogowa. Może ufał, że jego pozycja i bogactwa zdołają go uchronić od epidemii, a może nie mógł znieść myśli, że trzeba będzie pozostawić na pastwę losu większość nagromadzonych dóbr, opuścić dorobek całego życia. Ale śmierć nie różniła biednych i bogatych. Umarł jako jeden z pierwszych. Kilka dni później zachorowała jego córka. Jej ciało spuchło a skóra pokryła się ropiejącymi wrzodami. Służba uciekła i nie było nikogo kto podał by jej kubek wody. Wówczas to zjawił się szewczyk. Pielęgnował chorą i jak mógł i umiał łagodził jej cierpienia. A kiedy pacholćkowie miejscy zabrali ją do domu zarazy, poszedł do niego dobrowolnie i pozostał przy dziewczynie do śmierci. Nie widział strasznej twarzy i ropiejącego ciała, widział piękną pannę, do której dopiero teraz mógł się zbliżyć. Kiedy zmarła nie pozwolił pochować jej we wspólnej mogile zmarłych na zarazę, ale wykopał jej, poza murami miasta, osobny grób. Pomimo, że sam nie zachorował, nie wrócił już do Głogowa. Widziano go natomiast jak całymi dniami siedział przy mogile ukochanej, aż pewnego razu znaleziono go tam martwym. Pochowano go obok niej i nie postawiono nawet krzyża na mogile, bo w tamtych czasach nikt nie miał czasu o tym myśleć. Starzy ludzie powiadali jeszcze, że w tamtym miejscu w każdą księżycową noc widać było piękną dziewczynę i klęczącego u jej stóp chłopca. Ale czego to ludzie nie opowiadają.

Linoskoczek

Tego jeszcze w Głogowie nie było.

Naprawdę, najstarsi mieszkańcy nie pamiętali takich tłumów na Rynku w Głogowie. Ludzie tłoczyli się, popychali i napierali na siebie. Wszystkie okna były zajęte przez widzów. Ba, mówiono nawet, że niektórzy mieszczenie uczynili sobie znaczne źródło dochodów wynajmując miejsca w oknie. Nawet na dachach domów pełno było niedorostków, którzy z otwartymi ustami patrzyli na to co się działo. Jednym słowem zapowiadało się nadzwyczajne widowisko.

Cóż takiego przynęcało tych ludzi na głogowski rynek w zwyczajny, powszedni dzień, kiedy to powinni być zajęci pracą w swoich warsztatach, kramach i sklepach? Dlaczego dzieci nie poszły do szkoły, a gospodynie nie gotują obiadu? Zaczniemy jednak wszystko od początku.

A zaczęło się to jeszcze na wiosnę 15.. roku, od przybycia nowego starosty królewskiego. Jak każdy nowy starosta zamieszkał w zamku i jak każdy usiłował wprowadzić nowe porządki. I nie było w tym nic dziwnego. Ludzie już przywykli, że każdy wielkorządca najpierw jest bardzo aktywny, wszystko zmienia i przeinacza, a po jakimś czasie mija mu zapal i chęć do pracy i w zależności od wieku i temperamentu trwoni czas przy kielichu, uganiania się za dziewczętami lub jeździ na polowania, a niekiedy usiłuje robić wszystkie te rzeczy równocześnie, o ile wiek i kondycja fizyczna mu na to pozwalają. Ten jednak był inny. Przede wszystkim czytał książki, które sprowadzał z Wiednia, a podobno nawet i z Paryża, co samo w sobie było rzeczą niezwykłą. Poza tym ogromnie lubił dyskutować na różne tematy. A że w Głogowie nie bardzo miał z

kim to robić, upodobał sobie na rozmówcę proboszcza od św. Mikołaja. Proboszcz Arnold, bo tak mu było na imię, wydawał się właściwym człowiekiem do tych rozmów. Wszechstronnie wykształcony, studiował we Wiedniu i w Rzymie, bywały na cesarskim dworze, gdzie jakiś czas zajmował się nawet działalnością dyplomatyczną, wiele wiedział i wiele rozumiał. Cóż, kiedy dyskusje tych dwóch, prawie zawsze kończyły się kłótnią. Stary proboszcz z wiekiem stał się niecierpliwy i skory do waśni, a starosta, jak każdy dyletant, naszpikowany mnóstwem przypadkowo uzyskanych informacji, przekonany był o swojej nieomyślności i wielkim rozumie. Pomimo jednak tych kłótni i sporów obaj adwersarze ciągnęli do siebie, tym bardziej, że w długie zimowe wieczory nie było właściwie w Głogowie nic ciekawego do roboty, a ogień palący się na kominku w zamkowej komnacie i kielich starego wina, nastrojały do prowadzenia dysputy.

Pewnego marcowego wieczora rozmowa się im wyraźnie nie kleiła. Nawet w pewnej chwili zapadło dłuższe milczenie, co było rzeczą zgoła niezwykłą, jako że obaj ogromnie lubili mówić, i obaj zapatrzili się w ogień. W końcu starosta przerwał milczenie.

- Ciekawe czy ludzie kiedyś nauczą się latać? Słyszałem, że w jednym klasztorze na Morawach mnich pewien zbudował maszynę latającą...

- Bzdura. Proboszcz Arnold był prawdziwie poruszony. Człowiek zrzędzeniem Boga ma chodzić po ziemi i wszelkie sprzeciwianie się temu jest grzechem i obrazą boską. Nawet oni linoskoczkowie, którzy się po jarmarkach pokazują, potrafią jedynie kilka kroków zrobić po linie, po czym zaraz na ziemię zlążą, aby nie spaść. Człowiek jest stworzony do chodzenia po ziemi, do której grzechy go ciągną i basta, a Waść mi tu bzdur nie opowiadaj bo jeszcze prostaczkowie posłyszają i zgorszenia narobisz.

- Co też Dobrodziej pleciesz? Gdyby Bóg nie chciał aby stworzenia ziemskie latały to by nie stworzył ptaków. A człowiek? No coś jeszcze rozumu ma zbyt mało i doświadczenia. Ale kiedyś... A co do onych linoskoczków to już się waść zupełnie mylisz. Jestem pewien, że znajdę takiego, który po linie przejdzie z wieży Bożego Ciała do wieży ratuszowej. Jestem całkowicie przekonany, że w trzy miesiące takiego znajdę i stawiam na to moje cugowe konie.

- Jestem pewien, że takiego nie znajdziesz, Panie i gotówem stawić moją karabelę wysadzaną drogimi kamykami, która Mu się tak podobała. Chociaż to rozbój z mojej strony i spowiadać się z tego będę, bo Waćpan musisz przegrać jak amen w pacierzu.

- No to zakład stoi. W trzy miesiące od dzisiaj.

Od tej chwili starosta nie miał chwili spokoju. Naza jutrz po rozmowie zorientował się, że nie łatwo będzie mu wygrać zakład. Gdzie znaleźć linoskoczka, który odważy się przejść po linie z kościoła do ratusza? Rozesłał listy i gońców do zaprzyjaźnionych osób, a nawet polecił swoim sługom dopytować się po jarmarkach i odpustach, gdzie zwykle występowali różni kuglarze. Napróżno. Żaden z napotkanych sztukmistrzów nie považał się na takie ryzyko. Co innego chodzić po linie rozciągniętej kilka łokci nad ziemią, z której łatwo było zeskoczyć nie czyniąc sobie krzywdy, a co innego przejść taką odległość na wysokości stu kilkudziesięciu łokci. Toż to w razie czego śmierć pewna.

A czas nieubłagane uciekał. Starosta w głębi duszy żałował już, że pochopnie zaproponował zakład. Żał mu było cugowych koni. A przecież i samo przegranie zakładu, którego warunki stały się w Głogowie powszechnie znane, nie było przyjemne. W końcu jednak doniesiono mu, że we Wrocławiu mieszka, sławny niegdyś linoskoczek, który byłby w stanie dokonać takiego czynu. Starosta nie czekał. Sam pojechał do

Wrocławia. Odnalazł sztukmistrza bez trudu, jako że ten był człowiekiem znanym i wcale zamożnym. Zaprzestał on już pisywania się przed publicznością. Żył z córką w niewielkim domu i zajmował się pożyczaniem pieniędzy na procent, co przynosiło mu stały i wcale niezły dochód. Przyjął starostę niechętnie i nie zdradzał najmniejszej ochoty do pisywania się swoimi niebezpiecznymi umiejętnościami.

Nie wiemy jakich argumentów użył starosta. Musiały być one jednak bardzo ważne i ciężkie, ale w końcu stary sztukmistrz się zgodził. Uzgodniono dzień i godzinę, a także przygotowania jakie należało poczynić. Starosta wracał do Głogowa pogodny. Było mu dziwnie lekko i to wcale nie dlatego, że nie miał już przy pasie sporego mieszka z dukatami. Ale co tam pieniądze. Najważniejsze, że utrze nosa temu zarozumiałemu klesze. A karabela też mu się przyda. Zresztą po co duchownemu szabla?

W Głogowie zaraz rozpoczęto odpowiednie przygotowania. Najpierw starannie obejrzano obie wieże i obmyślono zaczepy do których można było przytwierdzić linę, długą przecież i ciężką. Sam starosta, osobą własną, pofatygował się na wieżę ratuszową i w towarzystwie burmistrza dokonał oględzin. To samo uczynił proboszcz w wieży u Bożego Ciała, a nawet kazał poczynić pewne naprawy nadwątłych murów. Za nic przecież nie chciał aby obwiniano go później o to iż na skutek jego niedopatrzienia zdarzyło się nieszczęście. Na kilka dni przed wyznaczonym terminem przyjechał do miasta lino-skoczek. W ogromnym wozie przywiózł ze sobą liny i inne potrzebne mu przyrządy i razem z córką, która zawsze z nim jeździła i zatrzymał się w domu kupca Szwarca, w Rynku, z którym od lat prowadził jakieś interesy handlowe. Również starannie obejrzał miejsce akcji. Pod jego nadzorem robotnicy, z niemałym trudem, umocowali grubą linę i przy pomocy kołowrotu naciągnęli ją ze znaczną siłą. Mistrz kilka razy

kazał poprawiać naciąg liny, wielokrotnie sprawdzał jej zamocowanie i ciągle był z czegoś niezadowolony. W przededniu pokazu, gruby woźny miejski obchodził wszystkie ulice miasta a na ich skrzyżowaniach i placach uderzał w zawieszony na brzuchu bęben i odczytywał następujące ogłoszenie.

„My Burmistrz i Panowie Rada Wielkiego Miasta Głogowa wiadomo czynimy sławetnym kupcom, rzemieślnikom i ludowi pospolitemu, iż nazajutrz, die 5 julii o godzinie 11 przed południem, na Rynku miejskim imć Pan Antonius przejdzie po linie z wieży kościoła Bożego Ciała do wieży Ratuszowej. Wydarzeniu temu przytomni będą wielmożny starosta Graf von Jungwitz i Wielebny Pan proboszcz Arnold, a to dla rozstrzygnięcia zakładu, któren pomiędzy nimi stanął, iż rzecz taka jest niemożliwa i przekracza umiejętności człowieka. Tedy przybywajcie wszyscy nazajutrz na Rynek miejski i podziwajcie. ”

Następnego dnia już od wczesnego ranka ludzie zaczęli się gromadzić na Rynku. Każdy chciał zająć miejsce najbardziej dogodne, z którego widać było obie wieże. Podziwiali grubą linę rozciągniętą pomiędzy wieżami, a robotnicy którzy tego dokonali z ważnymi minami udzielali chętnym wyjaśnień, a szczególnie dokładnie rzecz objaśniali tym, którzy znali się na grzeczności i przynosili im z gospody kufle głogowskiego piwa.

Punktualnie z wybiciem na zegarze ratuszowym godziny jedenastej, na wieżę weszli: starosta, proboszcz Arnold i mistrz Antonius z pomocnikami. Na dole, ustawieni w szereg żołnierze miejscowego garnizonu uderzyli w werble. Mistrz Antonius uklonił się obu dostojnikom, zdjął okrywającą go pelerynę i rzucił ją na ręce jednego ze swoich pacholków, po czym ujął oburącz podany mu długi drążek i ostrożnie wszedł na linę. Ubrany był w czarny, obcisły trykot.

Na nogach miał miękkie sznurowane pantofle, na włosach czerwoną przepaskę.

Początkowo mistrz Arnold szedł bardzo powoli, ostrożnie stawiając każdy krok i lekko balansując drążkiem. Potem, wydawało się, nabrał pewności i uchwycił właściwy rytm. Szedł już pewniej, równym, posuwistym krokiem. Patrzył prosto przed siebie. Ludzie na dole zamarli. Chodzący wysoko nad ich głowami człowiek, wydawał się dziwnie mały i tak jakby nierealny. Chciwie patrzyli w górę. Wydawało się im, że to jest niepojęte, sprzeczne z możliwościami normalnego człowieka, że lada chwila stanie się coś strasznego, lina pęknie, albo człowiek straci równowagę i spadnie, a być może nawet czekali na nieszczęście.

Tymczasem mistrz Antonius szedł coraz pewniej. Wydawało mu się, że wróciły czasy jego młodości, że ciało ma, jak dawniej, sprężyste i silne, że może, jak dawniej, zadziwiać tłumy swoimi umiejętnościami. Pozbawiony lęku wysokości szedł po linie tak, jak gdyby rozpięta była kilka łokci nad ziemią. Pogoda mu zresztą sprzyjała. Niebo pokryte było delikatnymi chmurami. Powietrze było zupełnie nieruchome, nie wiał nawet najmniejszy wiaterek. Wieża kościoła Bożego Ciała była już coraz bliżej. Jeszcze tylko kilka kroków i mistrz Antonius stanął na zbudowanym na niej pomoście. Oddał drążek pomocnikom, odwrócił się i pomachał ręką widzom.

Rozległy się gromkie brawa. Ludzie odetchnęli, chociaż niejeden wydawał się zawiedziony tym, że nie stało się nic strasznego. Tak to już jest, że w człowieku drzemie, wrodzone mu pewno, okrucieństwo i podświadomie czeka na katastrofę. Na wieży ratuszowej proboszcz Arnold, z kwaśną miną pogratulował starości zwycięstwa i wręczył wygraną karabelę. Starosta wydawał się być najszcześniejszym człowiekiem na świecie. Rozpierała go duma i radość z odniesionego zwycięstwa.

Tymczasem rozpoczęła się druga część widowiska. Mistrz Antonius znowu wszedł na linę idąc z powrotem w kierunku wieży ratuszowej. Tym razem jednak zatrzymał się na środku i... Oddajmy głos kronikarzowi:

„Najpierw stojąc na linie zdjął z siebie i ponownie nałożył pantofle, pończochy i kurtkę. Potem zaś wciągnął do siebie na jakimś dziwnym urządzeniu kołowym chłopca i ponownie go spuścił na ziemię. Na koniec ujął rękoma za umocowany do liny powróż i frunął na ziemię. Przy czym przy fruwaniu w dół uderzył się o słup do którego sznur był przywiązany, tak nieszczęśliwie, że rozbił sobie głowę i natychmiast zmarł. Przyczyną tego było to, że worki z wełną umocowane do słupa ustąpiły i zsunęły się z drogi...”

I na tym właściwie należało by zakończyć tę opowieść. Chyba, że powtórzymy plotki, które długo jeszcze rozchodziły się wśród mieszkańców Głogowa. Podobno proboszcz Arnold tak głęboko przeżył śmierć starego sztukmistrza, o którą siebie obwiniał, że nie odzyskał już nigdy równowagi ducha. Po jego pogrzebie stracił zupełnie zainteresowanie dla świata. Nie odwiedzał już nigdy starosty, godzinami leżał krzyżem w pustym kościele, z nikim nie rozmawiał. Wkrótce potem ciężko zachorował i opuścił ten ziemski padół.

A starosta? O nim także opowiadano różne dziwy. Podobno zaraz po wypadku zajął się cuceniem omdlejącej córki sztukmistrza tak gorliwie, że niektórym wydawało się to nieprzystojne. Ponoć zabrał ją do zamku i nie odstępował ani na chwilę. Mówiono nawet, że rzuciła na niego jakiś dziwny urok, że w tajemnicy ożenił się z nią i razem wyjechali do posiadłości starosty w dalekiej Saksonii, gdzie żyli długo i szczęśliwie i dochowali się liczного potomstwa. Inni znowu powiadają, że córka sztukmistrza zmarła wkrótce na jakąś tajemniczą chorobę, a starosta nie mógł przeżyć jej śmierci i również odszedł z tego świata. Ale być może były to tylko

plotki, których tak wiele powtarzano w tamtych czasach. Niektórzy dawni mieszkańcy Głogowa mówili również, że w letnią noc można było zobaczyć na tle nieba, pomiędzy wieżami kościoła Bożego Ciała i Ratusza sylwetkę człowieka ubranego w czarny strój idącego po niewidocznej linii. Było tak, czy nie? My tego nie wiemy. Ale kto chce niech wierzy.

Ucieczka

Raz, dwa, trzy, cztery... Żołnierz chodził miarowym krokiem, w jedną stronę, po czym zawracał i znowu: raz, dwa, trzy, cztery... Już dawno zapadł zmrok. Wiał północny, zimny wiatr. Padał drobny deszcz i wszystko przeniknięte było wilgocią. Ciężki karabin wpijał się w ramię. Żołnierz z pożądaniem patrzył na otwartą sień domu. Jakże chętnie schował by się tam i w jej zaciszu przeczekał nudne godziny warty. Ale jeszcze nie mógł, jeszcze było za wcześnie. Dopiero za godzinę zamkną gospodę „Pod Złotym Lwem”. A w gospodzie siedzi pewnie sierżant i pije piwo. Kiedy będzie wracał, niewątpliwie przejdzie koło posterunku i lepiej nie myśleć co się stanie jeżeli nie spotka wartownika przepisowo odmierzającego swoje kroki. A więc nie ma rady. Raz, dwa, trzy, cztery...

A w pokoju na piętrze, przy stole siedział generał. To jego tak pilnowano, i nie była to bynajmniej warta honorowa. Generał był już od dwóch lat więźniem głogowskiej twierdzy, a do końca kary pozostały jeszcze cztery długie lata. Jakże mu się one dłużyły. Chociaż, nie można powiedzieć, warunki miał znośne. Trzy pokoje i służącego do dyspozycji. Pomimo jednak, że dostawał połowę generalskiej pensji, a nawet cieszył się względną swobodą - w zamian za złożone słowo honoru, że nie ucieknie, wolno mu było w dzień spacerować po ulicach miasta, a nawet kilka razy do roku wyjeżdżać do swojego majątku, dla załatwienia bieżących spraw gospodarskich, jakże dłużył mu się czas. Bo też i co tu robić w niewielkim prowincjonalnym miasteczku w dodatku zamienionym w twierdzę. Towarzystwa żadnego. Wprawdzie miejscowy komendant i jego oficerowie chętnie zachodzili do niego na pogawędkę, a

jeszcze chętniej na dobre wino i karty, a gry karciane uprawiano wówczas namiętnie, to jednak byli to tylko pruscy oficerowie, bez fantazji i polotu, upijający się na smutno. Czyż mogli oni być odpowiednimi partnerami dla polskiego generała? A dzisiaj jest deszcz, zimno i pewno już nikt nie przyjdzie go odwiedzić.

Generał Jan Nepomucen Umiński, bo o nim mówimy, siedział więc samotnie przy swoim stole i myślał. Na kominku wolno palił się ogień. Na stole jedna łojowa świeca dawała niewiele światła. Myśli generała błądziły bezładnie. Jakieś wspomnienia z dzieciństwa, spędzonego w polskim dworze. Ożenek. Nie, żony już prawie nie pamiętał. Zmarła dawno, a po niej było tyle innych kobiet. Przygody wojenne. Tak, to były piękne czasy, kiedy jako młody oficer brał udział w Insurrekcji Kościuszkowskiej, u boku generała Madalińskiego. Nie bał się wówczas śmierci, a życie wydawało się takie piękne i wesołe. Nawet kara śmierci, orzeczona w stosunku do uczestników powstania przez króla pruskiego, nie mąciła mu wówczas pogody ducha. Młodość nic sobie nie robiła ze śmierci. Wyrok zresztą wkrótce uchylono na mocy amnestii. Potem kampania napoleońska. Niezliczone bitwy i potyczki. Życie obozowe i bieda obozowa, ale równocześnie to wspaniałe poczucie, że służy w polskim wojsku, że walczy o wolność, że może pomścić na zaborcach krzywdy ojczyzny. Oj, nie szczędził wówczas znoju żołnierskiego, a nawet krwi. Z ostatniej „bitwy narodów”, stoczonej pod Lipskiem, zniesiono go na noszach, rannego. Nie dorobił się też na tej wojnie niczego poza ranami, ale jednak były to piękne czasy. Nie to co późniejsze gospodarowanie w rodzinnych majątkach w Smolicach i Czeluścinie, już pod pruskim panowaniem i pod „dyskretną” opieką tajnej pruskiej policji. Dymy obozowych ognisk, śpiewy żołnierzy, pogwarki starych wiarusów, wino pite w towarzystwie dobrych kompanów i dziewczyny. Och dziewczyny... Nic więc dziwnego, że z ochotą przyłączył się

do konspiracyjnych działań Towarzystwa Patriotycznego organizowanego przez majora Łukasińskiego. Po wydaniu się spisku i uwięzieniu Łukasińskiego został aresztowany przez władze pruskie i skazany na sześć lat twierdzy, którą odbywał w Głogowie.

To wszystko wydawało się jednak generałowi czymś już odległym i zupełnie nieważnym. Ważniejsze sprawy działały właśnie teraz i pilnie wymagały od niego podjęcia właściwej decyzji. W Królestwie wybuchło powstanie. W listopadzie 1830 r. młodzi podchorążowie ruszyli do szturm na Belweder. Wypędzono znienawidzonego księcia Konstantego i proklamowano niepodległość. Patriotycznie nastawiona młodzież rwała się do walki. Brakowało doświadczonych generałów. Ci wyruszały w pole znacznie mniej chętnie. Wypalili się w czasie kampanii napoleońskich, a także zdawali sobie sprawę z całej złożoności sytuacji, z licznych niebezpieczeństw i niewielkich szans powstania. Do Umińskiego już kilkakrotnie docierali emisariusze, wzywając go do kraju. Co więc robić? Czy nie zważając na nic pokusić się na ucieczkę z głogowskiej twierdzy? Czy może zostać, przeczekać? Z jednej strony dusza rwała się w pole, ale z drugiej... zdrowie już nie to i wiek. Co gorsza odzywały się stare rany i reumatyzm. A więc może zostać? Wszakże odsłużył już swoje ojczyźnie i powinien korzystać z zasłużonego odpoczynku. Ale, czy wolno mu zostać, kiedy ojczyzna w niebezpieczeństwie? Przecież nie tak go wychowywano. A dane uroczyste słowo, że nie będzie próbował ucieczki? Czy nie powinien go dotrzymać? Skoro jednakże komendant twierdzy nie dotrzymał umowy i nie udzielił mu kolejnego urlopu, a nawet postawił przy jego drzwiach wartę, to czy jego przyrzeczenie nadal obowiązuje?

Takie to myśli krążyły w głowie generała w ową ponurą, zimową noc 1830 roku. Ciągłe nie wiedział co zrobić, a decyzję musiał przecież podjąć już nazajutrz. Łojowa świecz-

ka z wolna dopalała się w cynowym lichtarzu, filując przy tym i dymiąc, ale on nie widział tego pogrążony w swoich rozmyślnościach. Dopiero kiedy zgasła ocknął się i udał na spoczynek.

Następnego dnia generał obudził się późno. Jak co dzień, po śniadaniu ubrał się i wyszedł na spacer do miasta. Tym razem jednak nie była to bezładna wędrówka. Towarzyszący mu oficer pruski (bo od czasu wybuchu powstania komendant twierdzy nakazał eskortować więźnia w czasie spacerów) był zdziwiony tym, że generał tak krótko karmił gołębie na rynku i nie wdał się, jak to miał we zwyczaju, w zawiłą pogawędkę z przekupką handlującą kwiatami, a szybko skierował się do kawiarni „U Honoratki” (tak nazywał zakład Frau Günther). Rozejrzał się po niewielkiej salce po czym usiadł przy wolnym stoliku i gestem zaprosił oficera do zajęcia miejsca obok siebie. W milczeniu wypił podaną kawę i zjadł, tak jak zwykle, dwa rogaliki. Wstając od stolika zawadził nogą o krzesło, zachwiał się i oparł się na ramieniu siedzącego za nim mężczyzny. Powiedział po polsku tylko jedno słowo „tak” po czym grzecznie przeprosił go po niemiecku. Towarzyszący generałowi oficer nie zwrócił na to uwagi. Obaj wrócili do rogatki wrocławskiej - miejsca uwięzienia generała.

Odtąd wypadki potoczyły się już szybko. Mężczyzna, który siedział w kawiarni, a był nim emisariusz Rządu Narodowego Antoni Hendel, jeszcze tego samego dnia opuścił Głogów i rozpoczął przygotowywanie ucieczki. Nie było to łatwe. Trzeba było opracować trasę, tak aby ryzyko ogarnięcia przez pogoń było jak najmniejsze, wyszukać miejsca postoju w zaprzyjaźnionych i pewnych dworach. Po upływie tygodnia przyjechała do Głogowa córka generała - Magdalena, przywożąc ze sobą kosz z wypraną bielizną i różne wiejskie wiktuały. Zwykle pozostawała kilka dni. Tym razem jednak komendant twierdzy zezwolił tylko na kilkuminutowe widzenie, po czym nakazał jej opuścić miasto. Jednakże żegnając się z ojcem

Magdalena zdołała mu wyszeptać do ucha kilka słów: „w czwartek, o ósmej wieczorem, za bramą”. Generał nic nie odpowiedział, tylko oczyma dał znak, że rozumie i zgadza się. Pocałował córkę w czoło i Magdalena odjechała.

W czwartek 17 lutego 1831 r., zaraz po obiedzie, generał Umiński wydał w swojej kwaterze wielkie przyjęcie. Nie było w tym nic nadzwyczajnego, bo takie uroczystości zdarzały się dość często, jako że generał był człowiekiem towarzyskim i nie stronił również od kart i kieliszka. Zjawili się na nim wszyscy znaczniejsi oficerowie twierdzy, nie wyłączając komendanta. U generała można się było zawsze napić dobrego wina, a niedawna wizyta jego córki pozwalała mieć nadzieję, że znajdą się również znakomite polskie wędliny, a może nawet i krupnik litewski, za którym tutaj przepadało, a którego Niemcy nie umieli odpowiednio przyrządzać. Przy tym była to przecież jakaś rozrywka w nudnym i pozbawionym atrakcji mieście - twierdzy.

I tym razem oficerowie się nie zawiedli. Stół aż ugiął się od wiejskich smakowitości, a gęsto ustawione butelki zapowiadały wesoły wieczór. Wszyscy też prześcigali się w komplementach prawionych generałowi, a po wypiciu kilku kieliszków, jawnie już życzyli powodzenia polskiemu powstaniu. Wraz z upływem godzin humory się coraz bardziej poprawiały. Nikt już nie zwracał uwagi na nikogo. Nawet stojący na warcie żołnierze przestali się prężyć na widok wchodzących i wychodzących oficerów, którzy już dawno pozbyli się zwykłej pruskiej sztywności i... niektórych części garderoby. Zresztą generał zadbał o to, aby i żołnierze otrzymali butelkę gorzałki. Kiedy w końcu do komnaty wniesiono dymiącą wagę krupniku wesołość dosięgła zenitu. Nikt nawet nie zauważył, że krupnik jest tym razem wyjątkowo mocny i silnie przyprawiony korzeniami. Po następnej godzinie niektórzy oficerowie spali już oparci na stole, dwóch leżało w kącie, a jeden na

łóżku generała. Kilku pozostałych dopijało ostatnie kusztyczki miodu, zataczając się i obejmując wzajemnie, a jeden usiłował jeszcze śpiewać sprośną piosenkę, ani rusz jednak nie mógł sobie przypomnieć jej zakończenia, wobec czego zaczynał ciągle od początku..

Ale generała już wśród nich nie było. Tak jak stał, bez czapki, w narzuconym tylko na ramiona płaszczu, wymknął się pod osłoną nocy ze swojej kwatery, przeszedł niezauważony przez bramę miejską, i w odległości kilkudziesięciu kroków od niej wsiadł do czekającego nań powozu. Woźnica zaciął konie batem i tyle ich było widać.

Ucieczka przygotowana była znakomicie. Konie na zmianę rozstawiono co kilkanaście kilometrów, a w poszczególnych dworach przygotowano posiłki i noclegi. Pierwszy wioził generała hr. Hektor Kwilecki. Dojechali najpierw do Siedlnic koło Wschowy, gdzie matka hrabiego miała swój majątek. Stąd do folwarku Książęcy Las, własności księcia Antoniego Sułkowskiego. Stamtąd na Rawicz. Z Rawicza do Chwałkowa. Potem do Konar. Następnie do Ruska koło Borka Wielkopolskiego. Tutaj o mało nie doszło do tragedii. Dowódca patrolu stacjonującego w Gostyniu 5 pułku artylerii poznał generała, ale go nie wydał. Powszechna sympatia dla polskiego powstania okazała się silniejsza od pruskiej dyscypliny. Potem było jeszcze kilka etapów i różne dziwne przygody, aż na koniec koło wsi Głóski miejscowy fornał Michał Marcinkowski przewiózł generała przez granicę. 18 lutego po południu Umiński i Hendel byli już w Kaliszu.

Tymczasem w Głogowie rozpętało się piekło. Ucieczkę generała zauważono zaraz po zamknięciu bram miejskich o godzinie 22.00. Początkowo myślano, że wyszedł razem z którymś z oficerów i teraz u niego odsypia libację. Rozpoczęto poszukiwania. Kiedy jednak nie dały one rezultatu w twierdzy ogłoszono alarm. Wysłano specjalne sztafety do nad-

prezydenta Prowincji Poznańskiej, który już o 3 nad ranem wydał rozkaz blokady wszystkich dróg prowadzących do granic Królestwa Polskiego. Powiadomiono Bydgoszcz, Toruń i Berlin. Posiadłość generała - Smolice została obstawiona wojskiem. Na próżno. Generał Umiński zaginął. Nie udało się również ustalić osób, odpowiedzialnych za przygotowywanie ucieczki. W końcu dochodzenie zostało umorzone.

A tymczasem generał Umiński walczył już w powstaniu. Został nawet desygnowany na naczelnego wodza, ale na skutek intryg politycznych i rychłego upadku powstania stanowiska tego nie objął. Później przebywał na emigracji, a pod koniec życia wrócił i zmarł w swoim majątku.

Sprzysiężenie

Pst...Kolego!

Głos dobiegał z ciemnego zakamarka korytarza szkolnego. Andrzej zatrzymał się zaskoczony.

- Kolego, pozwólcie bliżej.

Odwrócił się i spojrzał. W załomie muru, pomiędzy gipsowym posągami jakiegoś antycznego bohatera, któremu szkolne burze urwały rękę i uszkodziły nos i odtąd skazany został na ustawienie w mrocznym kącie, stał wysoki dryblas w czarnym uczniowskim mundurku z rozczochranymi włosami i w drucianych okularach na nosie. To był Jarosław, uczeń ostatniej klasy, nieprzeciętnie zdolny i bystry, ale duch niespokojny, ulubieniec kolegów i organizator wielu wspaniałych wypraw, pozostający w ciągłych konfliktach z władzami gimnazjum.

Andrzej, odruchowo spojrzał w głąb korytarza. Nie było nikogo. Uspokojony wsunął się w niszę obok kolegi. Władze głogowskiej uczelni, aczkolwiek tolerancyjne i chętnie widzące polskich uczniów z pobliskich okolic, zwłaszcza, że byli to najczęściej synowie okolicznych ziemian, którzy regularnie płacili wysokie czesne, czegoś niechętnym wzrokiem patrzyły na ich wzajemne kontakty i bardzo nie lubiły polskich rozmów. Należało więc zachować ostrożność. Spojrzał w górę na wyższego od siebie kolegę.

- O co chodzi?

- Słuchajcie kolego. - Jarosław mówił szybko, głosem cichym, któremu bezskutecznie usiłował nadać uroczyste brzmienie. -

My was już od dłuższego czasu obserwujemy. - Jesteście Polakiem?

- Jasne! Czego pytacie?

- Chcecie pomóc Ojczyźnie. No rozumiecie... coś ważnego zrobić dla Polski?

- To się wie. No, oczywiście - poprawił się.

- To przyjdźcie dzisiaj o piętej do Helenki. Tylko ani pary z ust. To tajemnica. Odpowiadacie głową.

- Coście? U mnie jak w banku.

- No. No. Idźcie pierwsi. Nie trzeba żeby nas razem widziano.

Około piętej Andrzej poszedł do lokalu Frau Hildy, przez polskich uczniów gimnazjum pieśczośliwie nazywanej Helenką. Lokal był mały i ciasny. Znajdował się w oficynie domu przy ulicy Polskiej, w pobliżu dawnej bramy miejskiej. Podawano tam nadzwyczajny przysmak wszystkich głogowskich uczniów. Smażone kartofle ze skwarkami z wędzonego boczku. Sama właścicielka, ogromna niewiasta przepasana kraciastym fartuchem, krążyła z wielką patelnią w ręku, od kuchni stojącej w głębi, do wielkiego dębowego stołu przy którym na ławach siedzieli goście. Unosił się intensywny, mile łechzczący podniebienie, zapach.

Andrzej zatrzymał się na progu usiłując przyzwyczaić oczy do panującego tu mroku. Zobaczył Jarosława, który pomachał do niego ręką, robiąc mu miejsce koło siebie. Helenka, nie pytając podsunęła mu talerz i nałożyła porcję.

- Jeść, jeść. Mój kinder. Guten appetit! - powiedziała do niego swoją polsko - niemiecką gwarą. Polscy uczniowie stanowili jej najlepszą i najwierniejszą klientelę. Dbała więc o nich i obsługiwała w pierwszej kolejności. W tej chwili zresztą byli tutaj sami Polacy. Wszyscy zdawali się być zajęci wyłącznie

jedzeniem. Andrzej zauważył, że przy stole poza jednym człowiekiem, mogącym mieć koło trzydziestu lat siedzieli wyłącznie uczniowie dwóch ostatnich klas. Poczuł się dumny i wyróżniony tym, że dopuścili go do swojego towarzystwa.

Po chwili Jarosław podniósł głowę znad talerza i rzekł:

- Koledzy. Chciałbym, żebyście poznali kolegę Andrzeja. Chodzi wprawdzie dopiero do trzeciej klasy, ale myślę, że możemy mu zaufać. To szczerzy Polak i z porządnej rodziny. Jego ojciec brał udział w ostatniej rewolucji i w 1832 r. został zesłany na Sybir. Ręczę za niego.

- To dobrze. - siedzący naprzeciw Andrzeja mężczyzna spojrział uważnie na niego przenikliwym wzrokiem. - Chcecie się do nas przyłączyć? Potraficie dochować tajemnicy?

- Jasne! Tak, oczywiście. - Poprawił się Andrzej. - Tylko nie wiem co mam robić?

- Powoli. Tutaj nie możemy mówić. Jutro o siódmej w starej szopie za Bramą Pruską. A teraz jedźcie bo kartofle wystygną. Tylko ani pary z ust. Hasło - Ojczyzna. Odzew - Wolność.

Przez cały następny dzień Andrzej nie mógł znaleźć sobie miejsca. Czuł, że czeka go coś nadzwyczaj ważnego. Nie bardzo wiedział co się dzieje na lekcjach, o czym mówią profesorowie i o co pytają. Tylko wyjątkowemu szczęściu zawdzięczał, że nikt nie zauważył jego roztargnienia i nie skończyło się to wielu negatywnymi ocenami. W końcu jednak lekcje się skończyły. Andrzej z ulgą wyszedł z gimnazjum.

Wieczorem poszedł do starej szopy stojącej w zaroślach, o kilkaset kroków od bramy miejskiej. Nikt z miejscowych się nią nie interesował. Mówiono nawet, że w niej straszny i może dlatego była ulubionym miejscem spotkań polskich uczniów miejscowych szkół. Już na kilkanaście kroków przed

wejściem został zatrzymany przez chudego chłopaka stojącego z rękoma w kieszeniach, który spojrzał na niego z góry i zapytał:

- A ty gdzie? Hasło?

- Ojczyzna!

- Włóż do środka.

Andrzej przekroczył bramę. Kiedy jego oczy przywykły do mroku zobaczył siedzących w koło na ziemi młodych ludzi. W środku na zaimprovizowanym z desek stole paliła się świeca i stał krzyż. Obok stołu zobaczył tego samego człowieka, który jadł z nimi kartofle u Helenki. Najwidoczniej był on przewodniczącym zgromadzenia. Wezwał przybysza na środek i kazał stanąć po drugiej stronie stołu, po czym uroczystym głosem zapytał:

- Andrzej Bobowski czy jesteś Polakiem?

- Tak.

- Czy pragniesz wstąpić do Koła Towarzystwa Narodowego w Głogowie „Chrobry”.

- Pragnę.

- Czy przyrzekasz uroczystie dochować tajemnicy naszego zgromadzenia, być posłusznym jego przełożonym, pilnie wykonywać ich wszystkie polecenia, pogłębiać swoją wiedzę o dziejach Polski i usilnie pracować nad oswobodzeniem naszej Ojczyzny?

- Przyrzekam.

- Bracia! Czy przyjmimy do swego grona tu stojącego prawego Polaka Andrzeja Bobowskiego, czy powierzymy mu tajemnice zgromadzenia i dopuścimy do złożenia uroczystej przysięgi?

- Tak, tak. Przyjmujemy - odezwał się chór młodych głosów.
- Andrzej Bobowski czy jesteś gotów złożyć uroczystą przysięgę i potwierdzić ją podpisem własną krwią?
- Jestem gotów.
- Połóż więc prawą rękę na krucyfiksie, a lewą na sercu i powtarzaj za mną słowa przysięgi.

Nieznajomy począł czytać z wielkiej księgi a Andrzej powtarzał wzruszonym głosem:

„Ja Andrzej Bobowski przystępując po rozwadze i namyśle do Towarzystwa Narodowego przysięgam wobec tu zgromadzonych członków nigdy nie zdradzić tajemnicy o istnieniu i czynności Towarzystwa i pracować gorliwie w duchu według przepisów i żądań Towarzystwa. Równocześnie przysięgam nie występować z Towarzystwa przed ukończeniem studiów gimnazjalnych i, póki będę jego członkiem, gorliwie wypełniać obowiązki. Szczególnie przysięgam dokładać wszelkich sił w celu oswobodzenia uciemnionej Ojczyzny. Gdybym kiedykolwiek przysięgę tę złamał, ma mnie spotkać zasłużona kara jako człowieka bez czci i religii. A teraz przysięgam na Ojczyznę, na odrodzenie mego narodu i na imię Polaka wszystkiego, co w obecności tu zgromadzonych członków w tej chwili zaprzysięgłem, stale i w zupełności przestrzegać.”

- Podaj rękę, kolego - powiedział przewodniczący zgromadzenia, po czym ujął sztylet i lekko zadrasnął go w dłoń. - Weź pióro i podpisz swoją krwią na znak, że przysięgi, którą dzisiaj złożyłeś na zawsze dochowasz.

Andrzej zamoczył koniec pióra w kropli krwi i podpisał się w leżącej przed nim księdze.

- Wszystkim zgromadzonym uroczystie ogłaszam, że obecny tutaj prawy Polak Andrzej Bobowski złożył w naszej obecno-

ści uroczystą przysięgę i od dnia dzisiejszego stał się pełnoprawnym członkiem Głogowskiego Koła Towarzystwa Narodowego „Chrobry”.- powiedział przewodniczący, po czym uściśnął Andrzejowi rękę. Jaki pseudonim pragniesz przyjąć?

- Może „Konrad”? - powiedział nieśmiało Andrzej.

- Witaj Konradzie w naszym gronie.

Potem nastąpiły zwykłe dni. Andrzej poczuł się nawet trochę zawiedziony, spodziewał się bowiem, że będzie brał udział w czymś nadzwyczajnym, w marszach, pochodach, a może w bitwach. A tymczasem nic z tego. Sprzysiężeni zbierali się regularnie w starej szopie w tajemnicy i wysłuchiwali referatów z historii Polski, wygłaszanych przez przyjeżdżających w tym celu studentów, a czasem sami je opracowywali. Urządzali uroczyste obchody rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja. I chociaż wszystko to odbywało się w wielkiej konspiracji, to przecież nie takie czyny się marzyły młodym głowom. Z czasem jednak wykonywali i inne zadania. Raz trzeba było przeprowadzić, z dala od uczęszczanych szlaków tajemniczego emisariusza. Innym razem żądano od nich aby szczegółowo opisali wszystkie trasy wiodące do granicy z Polską i wskazali miejsca nadające się na składy broni i amunicji. To już były prawdziwe zadania. Pod pozorem wycieczek i majówek wyruszali wtedy w teren i starannie nanosili na mapy wszystkie szczegóły na nich niewidoczne, leśne dróżki, stare opuszczone domostwa i szałas, ale także posterunki policji, straży granicznej, wojska... Na młodych, rozbrykanych chłopców mało kto zwracał uwagę, mogli więc wędrować bez przeszkód. Czy jednak naprawdę nikt na nich nie zwracał uwagi?

Młodzi konspiratorzy nie docenili pruskiej policji. Ta chciała wiedzieć wszystko i wszędzie miała swoich informatorów. Pewnego dnia nastąpiła katastrofa. W czasie jednego z zebrań w opuszczonej szopie zostali nagle otoczeni przez

żandarmów i ujęci. I żadne wykręty nie pomogły. Zbyt dużo już o nich wiedziano. Władze pruskie nie chciały jednak rozdmuchiwać tej sprawy. Skończyło się na niewielkich karach, ale również... na relegowaniu z głogowskiej uczelni.

Wtedy właśnie wybuchło w Polsce powstanie. Młodzi chłopcy z głogowskiego gimnazjum przedostali się przez granicę i wstąpili do oddziałów wojskowych. Walczyli dzielnie, a po upadku powstania ci, którym udało się uniknąć zesłania udali się na emigrację. Taki bowiem był w owych latach los patriotów. A Andrzej Bobowski? Ponoć zatrzymał się aż za oceanem i w Chicago pracował w fabryce zegarków. Ale to już inne dzieje.

Spis treści :

Księżna i gołąb

Księżna i jej karzeł

Książę i jastrząb

Alchemik Piotr

Biała Dama

Opowieści starego garnka

Bardzo smutna historia

O księciu, który lubił piwo

Pojedynek na moście

Spisek

W wieży głodowej

Czwarty jeździec Apokalipsy

Linoskoczek

Ucieczka

Sprzysiężenie